

Anne McAllister
Lucy Gordon

Nieoczekiwana zamiana
miejsc

W najciemniejszym Devonie.

GABE

PROLOG

Gdy samolot lądował w Anglii, Gabe McBride nie miał pojęcia, że wkrótce czeka go spotkanie z Przeznaczeniem.

Jego kuzyn, lord Randall Stanton, który czekał w holu za salą odpraw, nie wyglądał na Przeznaczenie. Wyglądał tak jak zawsze - jak angielska wersja Gabe'a: był równie wysoki, miał takie same szerokie ramiona, ciemne oczy i włosy oraz pociągłą, przystojną twarz o podobnych, zdradzających rodzinne więzy rysach. Dzielące ich różnice były subtelne i kryły się choćby w sposobie bycia. Randall nosił się jak dumny angielski panicz. Roztacza się wokół niego lordowska woń, pomyślał Gabe z ironią. „Wonie” otaczające Gabe'a sugerowały coś zupełnie innego. Był to zapach koni, niewyprawionej skóry, kalafonii do nacierania postronków i wielu innych substancji, o których nie rozmawia się w kulturalnym towarzystwie. Teraz postarał się, by usunąć te zapachy. Nie należy wchodzić do salonu, gdy cuchnie się oborą.

Salon! Niezbyt często używał tego słowa. Być może ostatnio wypowiedział je, gdy gościł w Anglii piętnaście lat temu. Uśmiechnął się na samo wspomnienie. Salon był czymś tak odległym od zamieszkiwanego przez niego rancza w Montanie, które nazywał domem, gdy był w domu. Zazwyczaj go tam nie było.

Spędzał czas w drodze, przenosząc się z jednego rodeo na drugie, i w tej chwili robiłby to samo, gdyby nie zrzucił go ten mały, rozwścieczony byk na zawodach finałowych w Vegas, które odbyły się w zeszłym miesiącu.

Wyskoczył mu obojczyk - już po raz piąty. Nawet teraz wolał o tym nie myśleć. Nie myśleć o operacji, która okazała się nieunikniona, wielu miesiącach rehabilitacji, które miał przed sobą, o wymuszonej bezczynności. Facet łatwo wpada

w kłopoty, kiedy nie ma żadnego zajęcia i na przykład spotyka taką dziewczynę jak Tracy...

Uśmiechnął się mimowolnie na samo jej wspomnienie. Uwielbiał takie kapryśne, kipiące kobiecością babki. Zaciągnęła go do łóżka, choć trzeba przyznać, że specjalnie się nie opierał, i wydał na nią kupę forsy, co też było w porządku. Niestety, jej uzbrojony w pistolet braciszek - nerwus już nie był w porządku. Gabe'owi nie podobała się też gwałtowna rozmowa z nim, w której niepokojąco często przewijały się słowa „małżeństwo”, „uczciwa kobieta” i „cześć kobieca”.

Gabe, uczony od dziecka, że o kobietach nie mówi się źle, nie sugerował, że określenia „uczciwa” i „cześć kobieca” nie całkiem przystają do Tracy. Wyłaził natomiast ze skóry, by zapewnić braciszka rewolwerowca, że Tracy nie chciałaby związać się z ujeżdżaczem byków, i to pozbawionym zasad moralnych. Obiecał też, że wyniesie się z kraju, by mogła znaleźć sobie „porządnego” faceta.

Tak więc Gabe, życząc wszystkim porządnym facetom w Stanach dużo szczęścia, udał się w odwiedziny do swego kuzyna mieszkającego za oceanem.

Uznał, że zaoszczędzi mu to kłopotów związanych z Tracy, a przy okazji jego matka, która dochodziła do siebie po ciężkiej grypie, i siostra, która bawiła w Brazylii, będą zadowolone, że przynajmniej on pojawi się na rodzinnym zjeździe. Właściwie Gabe cieszył się na krótkie wakacje w Anglii i spotkanie z krewnymi, a zwłaszcza z ojcem swej matki, hrabią Stantonem. Rodzina miała uczyć fakt, że jak się wyraził Randall: „ktoś pozwolił dożyć staremu draniowi do osiemdziesiątki”.

Gdy jest się młodym, zdrowym i w świetnej formie, gdy pełno jest młodych kobiet, spragnionych męskiego towarzystwa, a forsy masz dość, by zaspokajać swe

zachcianki, sam rządysz swym przeznaczeniem. Tak właśnie myślał Gabe. Nie wiedział, jak bardzo się myli...

Lord Randall Stanton rozjaśnił się w uśmiechu na widok swego kuzyna, który wychodził z sali odpraw, i wydał dziki okrzyk, nie licujący z jego eleganckim strojem. Odpowiedział mu równie spontaniczny okrzyk Gabe'a i przez chwilę młodzi mężczyźni szturchali się jak uczniaki.

- Miło cię widzieć - powiedział Randall. - Choć potrzeba było skandalu, żebyś się zjawił.

- Nie wiem, o czym mówisz - oświadczył niewinnym tonem Gabe. - Przecież to osiemdziesiąte urodziny dziadka, więc spełniam jedynie rodzinny obowiązek.

- Twoja matka dzwoniła do dziadka tuż przed moim wyjściem, więc twoje sekrety już nie są sekretami - powiedział z uśmiechem Randall.

- Nie mogą utrzymać języka za zębami, co? - warknął Gabe.

- Jestem pewien, że ciocia Elaine jest wzorem dyskrecji. Zazwyczaj. Jak wsiądziemy do samochodu, wszystko mi opowiesz.

Jeszcze czego, pomyślał Gabe. Mogli opowiadać sobie wszystko, gdy byli chłopcami, ale nie teraz, zwłaszcza że chodziło o kobiety. Poszedł z Randallem na parking i aż gwizdnął na widok srebrnego rolls - royce'a.

- To dzięki dochodom z rodzinnych włości czy Stanton Publishing?

- Stanton Publishing. A włości pożerają pieniądze firmy - powiedział Randall, sadowiąc się za kierownicą. - No, gadaj. Wiem tylko tyle, że chodziło o jakąś Tracy.

- Czyżbym wyczuwał nutkę zazdrości w twym głosie, kuzynie?

- Ależ skąd - zachnął się Randall, wkładając klucz do stacyjki.

- To nie zbrodnia. Każdy mężczyzna z temperamentem powinien spotkać jedną czy dwie Tracy.

- A jeszcze lepiej z tuzin albo dwa - skomentował sucho Randall. - A może miałeś ich więcej?

- Chciałbyś wiedzieć - uśmiechnął się Gabe, opierając się wygodnie o kryty skórą fotel. - Trzeba zaliczyć parę panienek, stajesz się wtedy lepszym człowiekiem.

- Niby takim jak ty? - parsknął Randall.

- Nie można zajmować się wyłącznie pracą - wzruszył ramionami Gabe.

- Ani tylko zabawą - rzucił ostro Randall.

- Coś taki rozdrażniony? - spytał Gabe.

- Też byś był, gdyby hrabia codziennie ci suszył głowę - odparł Randall, manewrując samochodem na wąskim wyjeździe.

Zwracali się do Cedrica Stanton'a per „dziadku”, w obecności znajomych nazywali go „panem hrabią”, ale między sobą mówili na niego „hrabia”, od czasu gdy pewnego lata w Montanie, gdy byli chłopcami, tak się do niego zwrócił pewien stary kucharz; myślał, że to imię.

- To tylko hrabia - uśmiechnął się Gabe. - Powiedz, żeby się od ciebie odczepił.

- Równie dobrze mógłbym powiedzieć pitbullowi, że ma być grzecznym pieskiem - zaśmiał się Randall.

- Więc sam się odczep. Nie widzę, żebyś miał jakiś łańcuch na szyi. Niewidzialna smycz?

Randall nieświadomie rozluźnił krawat.

- Czasem tak się czuję - przyznał. Potem zamilkł, koncentrując się na jezdni. Poranny ruch wokół Heathrow był dobrą wymówką, żeby nie kontynuować rozmowy. Musiał przyznać w duchu, że Gabe trafił w czuły punkt.

Po śmierci rodziców, którzy zginęli w wypadku, gdy Randall miał osiem lat, chłopiec odziedziczył cały majątek.

Teraz miał do niego wszelkie prawa i ciążyły na nim wszystkie obowiązki, a surowy dziadek pilnował, by równowaga pomiędzy nimi była zachowana. Randall nauczył się zarządzać rodzinnymi dobrami i lubił się tym zajmować, ale stary majątek nie był dochodowy, a w każdym razie dochód z niego nie wystarczał na pokrycie wszystkich potrzeb. Randall zarządzał też imperium wydawniczym, które przynosiło spore zyski. To zajęcie również lubił, ale praca pochłaniała mu większość życia. Cierpliwie to znosił, ale czasami jakiś głos szeptał mu do ucha, że życie ma do zaoferowania też inne rzeczy, i Randall miał ochotę rzucić wszystko i choć na chwilę zapomnieć o obowiązkach. Kiedy zaś znalazł się w towarzystwie swego czarującego, beztroskiego, gwizdzącego na wszelkie przymusy kuzyna, szept zamienił się w ryk.

Gdy zacisnął mocniej ręce na kierownicy, Gabe natychmiast to zauważył.

- To kiedy zaręczyny? - zapytał.

- Jakie zaręczyny? - Randall gwałtownie obrócił głowę w stronę pytającego.

- Z lady Honorią, lady Sereną albo lady Melanie Wicks - Havering, czy inną. Czas, byś spełnił powinność wobec rodu Stantonów, młodzieńcze.

- Przestań, gadasz jak hrabia - powiedział ponuro Randall.

Gabe roześmiał się.

- A więc na razie udało się zbiec przed sforą? Lecz jak długo lis może uciekać? - spytał Gabe i wydał z siebie myśliwski okrzyk.

- Gdybym miał wolne ręce, chętnie bym ci przyłożył - burknął Randall. - Wszyscy mają prawo skakać z kwiatka na kwiatek i nie myśleć o przyszłości. Idź do diabła, McBride!

- Nie omieszka - oświadczył wesoło Gabe, zadowolony z nawiązania stosunków międzynarodowych.

Hrabia bardzo się postarzał. Gabe widział go ostatnio przed trzema laty, gdy starszy pan przyjechał do Montany z miesięczną wizytą. Wtedy wydawał się dziarski i nie wyglądał na swoje lata. Gęsta czupryna siwych włosów wieńczyła twarz prawie pozbawioną zmarszczek, a bystre, niebieskie oczy zapalały się z entuzjazmu, gdy omawiał kolejne plany - głównie mające na celu obarczenie Randalla kolejnymi zadaniami.

Teraz Gabe dostrzegł zmarszczki na twarzy starszego pana, zauważył, że drży mu ręka, gdy na przyjęciu urodzinowym wnuk wznosił toast za „kolejne osiemdziesiąt lat pełne przygód”. Uświadomił sobie, że hrabia wkrótce odejdzie. Ale zdał sobie również sprawę z tego, że Randall może umrzeć pierwszy, jeśli będzie dalej się tak przepracowywał.

Gabe był w Anglii już dwa dni i choć wiele czasu spędzał z hrabią, prawie nie widywał Randalla od chwili, gdy kuzyn przywiózł go z lotniska do Stanton House przy Belgravia.

- Spieszę się na spotkanie w Glasgow - wyjaśnił na pożegnanie. - Zobaczymy się później.

Ale wcale tak się nie stało. Od przyjazdu Gabe'a Randall zdążył odwiedzić Londyn, Glasgow, Manchester, Cardiff i Penzance. Czasem dzwonił i przeproszał za brak czasu. Ledwie zdążył na przyjęcie urodzinowe hrabiego.

Zadzwoił, by uprzedzić, że się trochę spóźni, wpadł jak po ogień, zjadł kawałek tortu i wznosił toast, po czym wyszedł, tłumacząc, że musi zadzwonić do paru osób w sprawie wykupywania akcji.

Gabe natomiast bawił się świetnie. Dyskutował o koniach z przyjaciółmi dziadka, najadł się smakołyków. Tańczył z wszystkimi pięknymi paniami, których było mnóstwo na przyjęciu, i flirtował z najładniejszą z nich - oszalamiającą

blondynką, która miała na imię Natasha. Spojrzała na niego w pewnej chwili wielkimi niebieskimi oczami i oświadczyła:

- Wcale nie jesteś podobny do kuzyna.

- Nie - przyznał wesoło Gabe. - Dzięki Bogu.

Randall nie zjawił się do końca przyjęcia. Zapewne zajmował się pomnażaniem dochodów Stanton Publishing albo zapobieganiem stratom, jakie przynosiły rodzinne włości.

Gabe zerknął na zegarek.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby dać mu wolny dzień?

Siedzieli właśnie z hrabią w bibliotece, zagłębieni w wygodnych skórzanych fotelach, sącząc wybornego scotcha, więc Gabe uznał, że można zacząć rozmowę na temat kuzyna.

- Dzień wolny? - parsknął z oburzeniem starszy pan. - Czy ktoś kiedykolwiek dał m n i e dzień wolny? Hrabiowie nie mają dni wolnych.

Gabe uśmiechnął się pod nosem. Biedny Randall.

- Pozostaje mi więc się cieszyć, że jestem zwykłym szaraczkiem - zażartował, wznosząc szklanekę w toast. - Za pospólstwo. Za próżnowanie.

Hrabia chrząknął z niezadowoleniem.

- Nie masz czym się chlubić, młodzieńcze. Większość mężczyzn w twoim wieku ma już pewne osiągnięcia, którymi może się pochwalić.

- Na przykład ty? - spytał Gabe, dobrze wiedząc, że dziadek w młodości był lekkoduchem. Potrzeba było twardej ręki lady Corneli Abercrombie - Jones, by Cedric David Phillip Stanton wydusił z siebie oświadczenia i skończył z hulaszczym życiem.

- Nie mówimy o mnie - uciał hrabia.

- Ty nie mówisz, bo wiesz, że wytrąciłoby ci to argumenty z ręki. Nie obchodzi mnie, że byłeś hulaką, wiesz, że podzielam te upodobania. - Gabe uśmiechnął się szeroko. -

Myślę tylko, że powinieneś pozwolić Randallowi czasem zaszałeć, zanim odejdiesz.

- Myślisz, że wkrótce odłożę łyżkę?

- To znaczy, umrzesz? Nie, ale kiedyś to nastąpi. Kto wie, co zrobi wtedy Randall, który nigdy nie używał życia? Może machnie ręką na całe to dziedzictwo Stantonów, te wszystkie „powinności” i „ciężary”, które wciąż na niego zwalasz?

Twarz hrabiego gwałtownie poczerwieniała.

- Randall nigdy by tego nie zrobił!

- Skąd wiesz? Czy kiedykolwiek zwolniłeś go po dziesiątej, żeby wyszedł sobie gdzieś prywatnie?

Gabe nie usłyszał odpowiedzi na to pytanie, bo drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich rozpromieniony Randall.

- Udało się. Przejęliśmy akcje „Gazette”.

- Kolejna „Gazette”? - jęknął Gabe. - De jest tych wszystkich „Gazettes”, „Echoes”, „Advertisers”, „Recorders”?

Stanton Publishing specjalizowało się w lokalnej prasie i miało już osiemdziesiąt tytułów w całym kraju.

- Ale to jest „Buckworthy Gazette”! - oświadczył triumfalnie Randall. - Od lat staraliśmy się o ten tytuł.

- Aha. - Gabe ze zrozumieniem pokiwał głową. Rodzinne dobra mieściły się w pobliżu miasteczka Buckworthy, w południowej części Devonu. Stantonom zawsze doskwierał fakt, że nie kontrolują lokalnej gazety. I wreszcie Randallowi się udało.

Hrabia oczywiście promieniał. Zerwał się z krzesła, klepnął wnuka w plecy i zawołał:

- Nareszcie! Jeszcze kilka miesięcy i byłoby po niej. Teraz czeka ją rozkwit! - Zerknął na zegarek. - Jeśli wyjedziesz z samego rana, w południe będziesz na miejscu. To czwartkowa gazeta. Zdążysz jeszcze wpłynąć na wydanie z tego tygodnia. Trzeba działać szybko. Sprzedaż nie była

wystarczająco wysoka. Od razu możesz zacząć kampanię reklamową. I wprowadzić jakiś cotygodniowy konkurs. Ten, który zrobiłeś w „Trush - by - the - Marsh”, był znakomity. Czyli trzeba iść w tę stronę! - Hrabia z zadowoleniem zacierał rękę.

Gabe zauważył, że zadowolenie znika z twarzy Randalla, który wyglądał, jakby się zaczął dławić - kolejnymi obowiązkami zrzuconymi na jego barki.

- Chwileczkę, poczekaj, zadusisz go! - zawołał Gabe, wsuwając palec za kołnierzyk koszuli kuzyna. Randall zawahał się, po czym rozluźnił krawat. Otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale od razu je zamknął i nie wyrzekł ani słowa.

Co za idiota! Gabe spiorunował Randalla wzrokiem. Czy zamierza pozwolić, aby staruszek wpędził go do grobu? Randall odwzajemnił pełne wściekłości spojrzenie. Hrabia spoglądał po twarzach obu wnuków,

- Jest jakiś problem? - spytał niechętnie.

- Nie ma problemu - powiedział Randall w tej samej chwili, gdy Gabe zawołał:

- Poważny problem! Dokładasz mu jeszcze więcej pracy. Mówiłem ci przecież, że potrzebuje wytchnienia.

- A ja powiedziałem ci, że jest robota.

- Weź do niej kogoś innego!

- Kogoś innego? - Hrabia powiedział to takim tonem, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom. Pokraśniał na twarzy i zaczął dyszeć ze złości. - „The Buckworthy Gazette” to gazeta Stantonów! - zagrzmiał. - A ledwo ciągnie. Tylko Stanton może doprowadzić do jej rozkwitu!

- Dlaczego akurat ten Stanton? - spytał Gabe.

- Bo Martha jest za oceanem.

- Martha nie jest jedyną przedstawicielką rodu Stantonów!

- No tak, jesteś jeszcze ty - rzucił niechętnie hrabia. -
Prędzej powierzyłbym bank czternastolatкови, niż pozwolił ci
kierować gazetą!

- Myślisz, że bym sobie z tym nie poradził?

- To praca - powiedział z naciskiem hrabia.

- A hodowla bydła to nie praca? Myślisz, że pilnowanie,
sortowanie i leczenie stada to nie praca?

- Twój ojciec ciężko pracował - przyznał hrabia.

- Ja pracowałem razem z nim! - zawołał ze złością Gabe.

- No tak, pomagałeś trochę, jak wpadałeś do domu.

- A kto przejął wszystkie obowiązki po śmierci ojca? Kto
od roku się tym zajmuje?

- Ty?

Hrabia prawie zakrztusił się ze śmiechu.

- Przecież twoja matka wynajęła Franka jako zarządcę.
Pewnie Martha mu pomaga. No i ta sierota, Claire. Twoja
matka mówi, że chodzi tylko w dżinsach i pracuje za trzech
facetów. Komuś ty tam potrzebny?

- Przemyśl to - powiedział Gabe, zaciskając zęby ze
złością.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że nadajesz się do
poważnej pracy? - spytał hrabia z rozbawieniem.

- Mogę robić wszystko to, co on - rzucił Gabe, wskazując
Randalla.

- Tere - fere.

- Żadne tam tere - fere, staruszk.

- Nie nazywaj mnie staruszk.

- Słuchajcie... - Randall próbował wtrącić się do
rozmowy, ale pozostali mężczyźni krzyknęli jednocześnie,
żeby był cicho.

- Zajmę się wszystkim, jak trzeba - zapewnił Gabe,
zwracając się do Randalla. - Opowiesz mi szczegółowo, jak
stoją sprawy z tą gazetą, i pojedziesz na wakacje.

- To jakieś szaleństwo. - Randall pokręcił głową. -
Doprowadzisz nas do bankructwa.

Gabe ze złością odstawił szklanę na stół.

- Myślisz, że sobie nie poradzę? Udowodnię ci, że jest
inaczej! Rano wyjeżdżam do Devonu!

Zapadło milczenie. Randall i hrabia popatrzyli po sobie, a
potem spojrzeli na Gabe'a. Gabe popatrzył im twardo w oczy.
I nagle, jak po ośmiosekundowym ujeżdżaniu byka, kiedy
adrenalina pozwala zapomnieć o bólu, ranach i zdrowym
rozsądku, a potem powraca trzeźwy odbiór sytuacji, tak teraz,
gdy przeszedł mu atak furii, Gabe zobaczył wszystko na
chłodno. W co ja się pakuję, do diabła, pomyślał. Powoli,
nieświadomie uniósł rękę i rozluźnił krawat.

W chwilę później, gdy hrabia poszedł się położyć, kuzyni
udali się do pokoju Gabe'a, który wyciągnął z torby butelkę
jacka danielsa.

- Poważnie mówiąc, to szalony pomysł - odezwał się
Randall.

- Owszem - przyznał Gabe, nalewając whisky do
szklanek. - Za „Buckworthy Gazette”! - zawołał.

- Nie musisz... - zaczął Randall.

- Owszem - przerwał Gabe. - Muszę. Wypił whisky
jednym haustem, odstawił szklanę i rzucił się na łóżko, po
czym wbił wzrok w kuzyna.

- Ja mówię poważnie. Pamiętasz, jak przyjechałeś po raz
pierwszy do Montany? Zrobiliśmy braterstwo krwi i
poprzysięgliśmy sobie pomagać w trudnych chwilach.
Właśnie to zamierzam zrobić.

Randall pokręcił głową.

- Ale ja nie potrzebuję pomocy!

Gabe był innego zdania, ale nie zamierzał się sprzeczać.
Oparł się o wezglowie łóżka i znów sięgnął po butelkę. Nalał

sobie kolejną szklaneczkę, wiedząc, że Randall przygląda mu się z zaciśniętymi zębami.

- Potrafię się tym zająć. - Gdy wypowiedział te słowa, zaczął się zastanawiać, kogo właściwie usiłuje przekonać, Randalla czy samego siebie. - Będzie niezła zabawa - dodał po chwili, gdy wróciła mu zwykła brawura.

- Nie wiesz, w co się pakujesz.

Gabe uniósł szklanekę i przez chwilę wpatrywał się w złocisty płyn.

- Dlatego właśnie będzie niezła zabawa.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Powiedział, że czegoś dokona, i zrobi to. Nie ma sprawy.

Randall zajmował się tym przez cały czas - pędził na swym białym rumaku - no, powiedzmy srebrnym rolls - royce'em - na ratunek prowincjonalnym gazetom. Stawiał je na nogi, ulepszając reklamę, profil pisma, reperując finanse - i pędził gdzie indziej, całkiem proste. Gabe robi to samo. Nie ma sprawy. Nie ma problemu.

Problemem było znalezienie tego cholernego miejsca! Gabe zaklął pod nosem, jadąc starym range roverem hrabiego w szarej porannej mżawce, która towarzyszyła mu od Londynu. Kręta droga była po obu stronach obrośnięta żywopłotem wyższym niż człowiek.

Oczywiście Gabe bywał już wcześniej w rodzinnym gnieździe, ale nigdy sam nie prowadził. Poza tym zawsze przyjeżdżał latem, a nie w środku najwilgotniejszej i najbardziej ponurej zimy w historii Anglii.

Wyjechał jeszcze przed świtem, po komentarzu hrabiego, że Randall „zawsze wyrusza wcześniej”. Na autostradzie szło mu całkiem nieźle, czasem tylko, gdy przestawał się na chwilę koncentrować, miał wrażenie, że jedzie złą stroną drogi.

Gdy znalazł się w Devonie, a drogi stały się wąskie, jechało się też całkiem nieźle, z wyjątkiem tych chwil, gdy z naprzeciwka nadjeżdżał samochód i trzeba było zjechać na bok, nie myląc strony. Wreszcie jednak pokazała się tablica z napisem „Buckworthy 3 mile” i „Stanton Abbey 2 mile”.

Skreślił w tę drogę i wkrótce znalazł się na dróżce niewiele szerszej od range rovera. Czuł się jak wół prowadzony do rzeźni tunelem, z którego nie ma wyjścia. Cóż za trafne porównanie, pomyślał ponuro. Ścieżka znowu skręcała, żywopłot zabiegał drogę, wycieraczki zamiatały szybko szybę.

- Cholera! - zaklął nagle, wyłoniwszy się z za ślepego zakrętu, bo prawie wjechał na tylne koło roweru. Nie było

czasu na hamowanie, skręcił więc gwałtownie, a rowerzystka na szczęście skręciła w przeciwnym kierunku.

Gabe odetchnął z ulgą, mijając starszą kobietę w spłowiałym czerwonym swetrze naciągniętym na tyle warstw innych ubrań, że starczyłoby na zimę w Montanie. Patrzyła na niego z przestachem, ale na szczęście nic jej się nie stało. To dopiero by było, gdyby przejechał jakąś miejscową kobietę!

Już słyszał, jak hrabia mówi sarkastycznym tonem:

- Miałeś uratować gazetę, a nie dostarczać jej sensacyjnych nagłówków!

Hrabia parsknął z oburzeniem, gdy Gabe zaproponował, że zajmie się wszystkim i za tydzień wróci.

- Tydzień?! - zawołał. - Sądysz, że w tydzień można naprawić dziesięcioletnie szkody wynikające ze złego zarządzania, marnego dziennikarstwa, i zwiększyć nakład?

- No to dwa - mruknął Gabe.

- Dwa miesiące - oświadczył wyniośle hrabia. - Jeśli masz łeb na karku.

- Dwa miesiące?! - Gabe wytrzeszczył oczy z przerażenia.

- Muszę wrócić na wiosnę do domu, gdy krowy będą się cielić i trzeba będzie znakować bydło!

- W takim razie Randall się tym zajmie - powiedział hrabia z uśmiechem.

Akurat! Jednak Gabe obiecał, że uratuje gazetę, i zrobi to, do cholery! Choćby miało mu to zająć kawał czasu.

Wiedział, że Randall również uważał, iż on sobie nie poradzi. Przez pół nocy dawał Gabe'owi różne rady.

- Musisz ustanowić tam swoje porządki. Mieć autorytet.

- Pana i władcy? - spytał niechętnie Gabe.

- Właśnie tak. Mów łagodnie, ale zawsze miej pod ręką kij.

- Słowa Teddy'ego Roosevelta.

- Naprawdę? - zdziwił się Randall. - Widocznie ukradł nam to powiedzonko. - Klepnął kuzyna w ramię. - Dasz sobie radę. Wszystko będzie dobrze, jeśli... Nieważne. Jak sobie nie będziesz radził, po prostu zadzwoń.

- Będziesz wtedy w Montanie.

Taką zawarli umowę. Gabe przejął obowiązki Randalla, który z kolei miał się zająć ranczem.

Gabe ostatni raz odwiedził Stanton Abbey, gdy miał dziesięć lat. Teraz miał trzydzieści dwa. Siedziba wcale się nie zmieniła. Cóż, dwadzieścia dwa lata dla Stanton Abbey było niczym mrugnięcie okiem.

Oryginalny budynek liczył sobie siedem stuleci. W ciągu wieków dodano oczywiście wiele dobudówek. Ponure kamienne domiszcze przycupnęło na wzgórzu jak romańska ropucha o zdziwionych gotyckich brwiach. Zdziwienie budziła zapewne częściowo drewniana dobudówka w stylu Tudorów z jednej strony i neoklasycystyczne skrzydło z drugiej. Na szczęście od osiemnastego wieku niczego już nie dodawano. Stantonowie mieli przez te dwieście lat wystarczająco dużo roboty z utrzymaniem posiadłości w przyzwoitym stanie.

Gabe nigdy nie zazdrościł Randallowi dziedzictwa. Jeden rzut oka wystarczył mu teraz, by uznać, że nie zmienił zdania. Zaczął się nawet zastanawiać, dlaczego Randall nie powiedział wiele lat temu: „Dziękuję, ale dziękuję - nie”. Jako dziesięciolatek Gabe uważał Stanton Abbey za fascynujące miejsce. Ganiali się z Randallem po kamiennych korytarzach, chowali przed hrabią w kaplicy albo zakładali się, kto pierwszy przebrnie przez labirynt w ogrodzie.

Teraz, gdyby ktoś odważył się zapuścić do ogrodu, powinien zaznaczać ścieżkę, którą idzie, bo mógłby zaginać na zawsze, myślał Gabe, rozglądając się po rozbuchanych krzakach i zaroślach.

- Jest nieco zarośnięty - ostrzegł Randall. - Staramy się nadać przede wszystkim z naprawami domu. Musimy, to zabytek klasy zerowej i tak dalej. Freddie pilnuje prac renowacyjnych, ale. i tak, za każdym razem, gdy tam pojedę, widzę, że trzeba wymienić jakąś starą belkę, a poza tym zakrada się wilgoć.

Zakrada się? Raczej przenika wszystko na wskroś. Gabe od razu poczuł ją w kościach. Czy naprawę dobrowolnie skazał się na dwumiesięczne wygnanie w takim miejscu? Owszem. No cóż, skoro Randall mógł to robić, on też potrafi. Musi tylko znaleźć Freddiego, zarządcę, żeby go wpuścił do środka.

Frederica Crossman nie oczekiwała gości o dziesiątej rano w poniedziałek. Dlatego była wciąż w koszuli nocnej i tkwiąc na czworakach na kamiennej posadzce, próbowała przekonać królika, którego syn przyniósł na ferie świąteczne ze szkoły, aby wyszedł spod lodówki. Charlie powinien odnieść zwierzaka właśnie dziś, ale rano nie udało mu się go złapać.

- Koniecznie muszę go dziś odnieść - powiedział przed wyjściem.

- Złapię go - obiecała bez przekonania Freddie za dziesięć ósma i do tej pory bezskutecznie starała się dotrzymać słowa. Już prawie udało jej się dotknąć zwierzątka. Gdyby tylko miała dłuższe palce albo cholerny królik nie był taki przerażony, albo...

Pukanie do drzwi ją przestraszyło. Podskoczyła i walnęła się głową w blat stołu stojącego przy lodówce. Pukanie powtórzyło się, głośniejsze i bardziej uporczywe.

Freddie wcale nie miała ochoty otwierać. Wiedziała dobrze, kto to - pani Peek. Freddie oczekiwała jej od chwili, gdy dowiedziała się wczoraj, że Stanton Publishing kupiło „Gazette”. Spodziewała się, że największa plotkarka w okolicy na pewno wpadnie na filiżankę herbaty i po najświeższe

wieści. Freddie była wręcz zdziwiona, że zjawia się dopiero teraz.

Pełne zniecierpliwienia pukanie powtórzyło się po raz trzeci. Zirytowana Freddie narzuciła na siebie zamiast szlafroka płaszcz przeciwdeszczowy Charliego i rozcierając guza na głowie, poszła otworzyć tylne drzwi.

To nie była pani Peek.

To był mężczyzna. Szcupły, przystojny, o gęstych, ciemnych włosach i błękitnych oczach. Miał twarz, której się nie zapomina.

Freddie skojarzyła ją od razu. Nie miała wątpliwości, że pani Peek też by ją zapamiętała.

To był lord Randall Stanton. Dziedzic.

Czy rzeczywiście? Po chwili nie była już tego taka pewna. Spotkała lorda Stantona parę razy, gdy przywiózł swego dziadka z wizytą do rodzinnego domu. Lord Randall zawsze był czarujący, zatroskany, uprzejmy. Wychowanek renomowanej szkoły. Ubranie szyte na miarę. Nie mogła wyobrazić go sobie w dzinsach.

Jednak mężczyzna stojący w drzwiach miał na sobie wytarte dzinsy, a przy pasku wielki, błyszczący, złoty przedmiot. Freddie używała platerowanych tac, które były mniejsze niż ta sprzączka!

- Cześć - powiedział i obdarzył ją sławetnym uśmiechem Stantonów.

Amerykański akcent przesądzał sprawę. Kimkolwiek był, na pewno nie był lordem.

- Dzień dobry - odparła, owijając się szczelniej płaszczem.

Nieznajomy uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nazywam się Gabe McBride. Szukam zarządcy Stanton Abbey. Zastałem go?

Freddie nie przepadała za taką sytuacją. Przecież nie tylko mężczyźni zajmowali się zarządzaniem majątkami. Przypuszczała, że nawet Amerykanin, pan McBride, musiał zdawać sobie z tego sprawę. Jednak nawet on, dodała w myślach, oczekiwał pewnie, że o dziesiątej rano zarządca - bez względu na płeć - jest przynajmniej ubrany.

Zanim zdążyła się tym przejąć, kątem oka ujrzała królika, który wypełził spod lodówki i zmierzał właśnie w kierunku piecyka.

- Przepraszam! - zawołała i rzuciła się w pogoń za zwierzakiem.

Oczywiście domyśliła się, że McBride jest jakimś kuzynem Stantonów. Trudno było nie zauważyć podobieństwa z postaciami z portretów wiszących w siedzibie. Spodziewała się, że będzie teraz stał i patrzył, jak robi z siebie idiotkę, lecz ku jej zaskoczeniu, dołączył do pościgu.

- Czy to szczur? - zapytał, uklękawszy tuż przy niej, a z jego włosów zaczęły kapać na posadzkę krople wody.

Pokręciła głową.

- Królik.

- Królik?

- Tak. Chodź, Cosmo, no, nie bój się. Dobry króliczek. Czas do szkoły, Cosmo. - Pełzając po podłodze, usiłowała dosięgnąć zwierzaka, który przycupnął za kuchenką. Widziała przez szparę, jak wpatruje się w nią oczkiem podobnym do koralika.

- Dostanę go. - Gabe McBride położył się na brzuchu tuż przy niej. Wyciągnął rękę po królika, który widząc, że jest na straconej pozycji, rzucił się pomiędzy napastników i czmychnął do jadalni.

Freddie wydała z siebie okrzyk nie pasujący do damy i przytrzymując płaszcz, rzuciła się w pogoń za królikiem, a McBride wraz z nią.

- Ty tędy, a ja tędy - rozkazał. - Złapiemy go w przejściu.

- Słucham?

Uśmiechnął się rozbijając. Dobrze, że jestem już na kolanach, bo chyba bym padła, pomyślała Freddie. Żeby mężczyzna jej rozkazywał!

- Nigdy! - zawołała.

- Słucham? - spytał McBride. Freddie potrząsnęła głową.

- Nic, nic. Chciałam powiedzieć, że nigdy go nie złapiemy.

- Oczywiście, że złapiemy. - Szerokim łukiem zaszedł królika od tyłu. Nie ruszaj się. Wypłoszę go. Gotowa?

Wciąż zdezorientowana z powodu swych myśli, Freddie przycupnęła, czując się jak bramkarz. Gabe McBride położył się na brzuchu i sięgnął ręką pod serwantkę. Królik przyglądał mu się ze stroskaną miną. Gabe sięgał palcami coraz bliżej i bliżej.

- Tak, jestem gotowa - powiedziała zdyszana Freddie. Gabe nagle klasnął, a królik wyskoczył wprost na nią.

- Mam go! - zawołała, przewracając się na plecy, lecz nie wypuszczając królika z objęć. Serce waliło jej jak młotem.

Oczywiście dlatego, że była uszczęśliwiona udanym pościgiem, a nie dlatego, że stał nad nią przystojny, uśmiechnięty Amerykanin, zapewniała sobie Freddie.

Nagle rozległo się stukanie do drzwi.

- Hej, kochanie, gdzie jesteś? - zawołała pani Peek, która nie czekając na odpowiedź, weszła do środka. - Jest tam kto?

Freddie okazała się dziewczyną! A właściwie kobietą - i to bardzo atrakcyjną, z tymi czarnymi, falującymi włosami i zaróżowionymi policzkami. Nie mówiąc już o kobiecych kształtach i bujnych piersiach, z którymi Gabe zetknął się podczas pogoni za królikiem.

- To ja pełnię funkcję zarządcy - wyjaśniła zdyszana, wkładając królika do klatki.

- Jesteś Freddie?

- Frederica - odparła stanowczo. - Mój mąż pracował dla hrabiego Stanton... Mark zmarł cztery lata temu - dodała, widząc jego pełne zaskoczenia spojrzenie.

Cała ta rozmowa odbyła się w krótkim czasie, jaki zajął im powrót ze złowionym królikiem do kuchni, gdzie starsza pani w czerwonym swetrze zdążyła się już rozgościć. Gabe rozpoznał w niej niedoszłą ofiarę wypadku. Teraz lustrowała ich oboje ciekawskim spojrzeniem.

- To pan McBride - przedstawiła szybko Freddie. - A to pani Peek - dodała, stawiając klatkę z królikiem na stole.

Gabe skinął głową i uścisnął dłoń przybyłej, ale wciąż śledził wzrokiem rozkoszną Freddie. Nie mógł od niej oderwać spojrzenia, od chwili gdy otworzyła mu drzwi w tym śmiesznym, za małym płaszczu przeciwdeszczowym narzuconym na koszulę nocną. Jego modna siostra Martha powiedziałaaby o tej koszuli z miękkiej flaneli w fioletowe kwiatki, że coś takiego nadaje się tylko dla aseksualnych babć. Nie miałyby racji.

Gabe wziął głęboki oddech.

- Czy coś panu dolega? - spytała pani Peek.

- Słucham?

- Ma pan, zdaje się, kłopoty z oddychaniem. Owszem, ale większe kłopoty sprawiało mu opanowanie tego, co hrabia określiłby mianem jego „prawdziwej natury”. Freddie budziła w nim przemożną pokusę. Jednak przypuszczalnie dziadek nie byłby zachwycony, gdyby Gabe posiadał zarządzającą majątkiem rodzinnym Fredericę na kuchennym stole, i to w obecności ciekawskiej kobiety w czerwonym swetrze. Po kilkuminutowej rozmowie doszedł do wniosku, że pani Peek (peek (ang.) - zerkać.) w pełni zasługuje na swoje nazwisko. Wiedziała o wszystkim, co działo się w Buckworthy. Oczywiście o nim także wiedziała!

- Przyjechał pan kierować „Gazette” - powiedziała, z aprobatą kiwając głową. - Potem, unosząc brwi pod okularami, obrzuciła koszulę nocną Freddie i jej zmierzwiłone włosy znaczącym spojrzeniem i dodała: - Szybko pan się zabiera do roboty.

- Pan McBride przyjechał po klucze do posiadłości - rzuciła zdecydowanym tonem Freddie, lecz jej dłonie niespokojnie próbowały doprowadzić do porządku włosy i co chwila ścisnęły rozsuwający się płaszcz.

Nie udawało jej się ani jedno, ani drugie, a Gabe napawał się miłym widokiem. Perspektywa spędzenia dwóch miesięcy w Devonie z każdą chwilą wydawała mu się przyjemniejsza.

- Może napilibyśmy się herbaty - zaproponowała pani Peek.

Freddie włączyła czajnik, a starsza pani rozpromieniła się w uśmiechu:

- A więc jest pan kuzynem młodego lorda? Amerykaninem. Podobny pan do niego - uznała. - On też był taki przystojny, to znaczy, hrabia Cedric - dodała rozmarzonym głosem.

- Czy zna pani mego dziadka?

- Tak... znaliśmy się - przyznała, rumieniąc się nieco. Pani Peek miała pewnie około siedemdziesiątki i trudno było sobie teraz wyobrazić jej zażyłość z Cedrikiem. Ale tak samo trudno było sobie wyobrazić, że hrabia mógł być do niego podobny!

- Pozdrowię dziadka od pani, gdy będę z nim rozmawiał - powiedział Gabe. - Właśnie wracam z jego urodzin, które obchodziliśmy w Stanton House.

Potem, rzecz jasna, musiała nastąpić szczegółowa relacja z przyjęcia. Pani Peek nadstawiła uszu, a Freddie, nalawszy herbatę, przeprosiła, że musi ich na chwilę opuścić.

- Za chwilę wrócę... - powiedziała. - Muszę się trochę... ogarnąć - bąknęła, wciąż niespokojnie wędrując dłońmi po swoim okryciu.

- Szkoda zachodu, jeśli o mnie chodzi. - Pani Peek uśmiechnęła się szeroko.

- Za chwilę wrócę - powtórzyła Freddie, ściskając płaszcz na brzuchu.

- Freddie to dobra dziewczyna - powiedziała pani Peek, gdy tamta nie mogła jej już słyszeć. - Bez przerwy pracuje. Zarządzanie posiadłością to zbyt trudne zadanie dla kobiety, ale nie mogę jej tego powiedzieć. Dobrze, że pan przyjechał. Dobrze, że stary Cedric przysłał swego wnuka, by zrobił porządek z gazetą Stantonów - oświadczyła stanowczo. - To w końcu jego rodzinne gniazda Potrzeba tu dżentelmena.

Gabe obejrzał się za siebie, ale uznał, że jednak to o nim mowa. Zaczynał odczuwać ciężar odpowiedzialności, który Randall dźwigał, zdawałoby się, z taką łatwością.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - powiedział.

- Ma pan już jakieś plany? - spytała, przytakując z zapalem.

- Najpierw muszę trochę się rozejrzeć. Rozeznac w sytuacji, a potem dopiero zacząć realizować swój plan - odparł, pewien, że Randall poczęstowałby ją podobnymi frazesami. - Za parę dni będę lepiej zorientowany.

- O, na pewno - uśmiechnęła się pani Peek, a Gabe nie wiedział, co właściwie ma znaczyć ta uwaga.

Pani Peek dopiła herbatę i wstała, by się pożegnać.

- Cieszę się, że pan przyjechał. I do tego taki przystojny... - Błysk w jej oczach dał mu posmak tego, co pociągało jego dziadka wiele lat temu. - Życzę panu powodzenia - dodała, kiwając głową z zadowoleniem.

Pedałowała już na swym rowerze, gdy wróciła Freddie. Miała teraz upięte włosy, ubrana była w dzinsy i niebieski

luźny sweter. Nie wyglądała tak rozkosznie, jak wtedy, gdy w koszuli nocnej pełzała po podłodze, i Gabe mógł gapić się na jej długie, zgrabne nogi, ale miał dobrą pamięć.

- Gdzie pani Peek? - spytała.

- W drodze. Dostała to, czego chciała. Freddie uśmiechnęła się.

- To poczciwa kobieta. Mieszka sama, więc lubi wpaść na herbatę i pogawędkę. - Freddie pozbiierała filiżanki i wstawiła je do zlewu.

Gabe rzucił przy tej okazji okiem na jej pośladki i uda opięte džinsami. Z trudem oderwał wzrok od rozkołysanych bioder i zmusił się do skoncentrowania uwagi na sprawach, z powodu których tu przybył. Odchrząknął i powiedział:

- Odniosłem wrażenie, że jej zdaniem przybyłem tu na stałe, a tak nie jest - Wolał na wstępie wyjaśnić, jak się sprawy mają. - Robię uprzejmość Randallowi, to jest memu kuzynowi... Obiecałem rozkręcić „Gazette”. Gdy to zrobię, wracam na swoje ranczo w Montanie. Jestem kowbojem, nie lordem.

- Kowbojem? - spytała z powątpiewaniem Freddie, jakby mówił w obcym języku. Jej usta wygięły się w uśmiechu. Były wręcz stworzone do całowania.

Gabe zastanawiał się, jak smakują. Freddie nie jest już dziewczyną, przypomniał sobie. Jest kobietą, wdową i matką dzieci w wieku szkolnym. Musi więc mieć już swoje lata.

- Ile masz lat? - spytał, sam nie wiedząc czemu. Spodziewał się, że pewnie około czterdziestki.

- Trzydzieści jeden.

- Ile?! - A więc jest młodsza od niego! Wpatrywał się ze zdumieniem we Fredericę Crossman.

- W jakim wieku są twoje dzieci? - spytał niemal oskarżycielskim tonem.

- Charlie ma dziewięć lat, a Emma siedem.

Gabe aż otworzył usta ze zdziwienia. Miała trzydzieści jeden lat i takie duże dzieci! A to znaczy, że i on mógłby mieć takie. Nie. To niemożliwe. Sam był jeszcze prawie dzieciakiem.

- To niezbyt uprzejmie pytać o czyjś wiek - powiedziała Freddie cierpkim tonem. - Zwłaszcza że gapisz się na mnie oniemiały, gdy udzieliłam szczerej odpowiedzi.

Gabe się zaczerwienił.

- Przepraszam, nie zamierzałem... jestem po prostu zaskoczony... Wyglądasz tak... młodo... - Sądził, że jest czterdziestolatką o niesamowicie młodym wyglądzie.

Nigdy dotąd nie myślał o starzeniu. A przynajmniej o tym, że jemu przybywa lat jak wszystkim. Hrabia, owszem. Staruszek był coraz słabszy, choć głos wciąż miał dudniący, a charakter niezłomny. Randall także się postarzał. Gabe sądził jednak, że Randall wyglądał starzej, bo tak cholernie ciężko pracował.

Teraz nie był tego tak całkiem pewien. Wszyscy się starzeją. Hrabia miał przynajmniej za sobą całe życie, o którym mógł myśleć z dumą. Randall też miał już się czym pochwalić. Najwyraźniej to samo można powiedzieć o Freddie Crossman, która ma dwójkę dzieci.

A co z nim? Co z Gabrielem Phillipem McBride? Spojrzał w dół na sprzączkę swego paska, trofeum z mistrzostw w ujeżdżaniu byków. Nagle wydało mu się, że to zbyt mało.

ROZDZIAŁ DRUGI

Powinna go zaprosić. Byłaby to uprzejmość z jej strony, odpowiedzialna decyzja, niewątpliwie również z finansowego punktu widzenia. Ostatecznie Freddie często udostępniała latem dom wczasowiczom. Ale teraz był styczeń, zimny, posepny i wietrzny, jak to zwykle w Devonie. Jej ulubiona pora roku, bo miała dużo czasu dla siebie i dzieci.

Nigdzie nie było powiedziane, że powinna zaproponować mieszkanie u siebie Gabe'owi McBride'owi - tylko dlatego, że zawdzięczała jego dziadkowi tak wiele. Nigdy nie domagał się żadnej zapłaty, a nawet nie wspominał o jakichkolwiek zobowiązaniach.

Jednak Freddie wiedziała, że jest jego dłużniczką. Hrabia czuł się winny z powodu śmierci jej męża, Marka, choć wielokrotnie przekonywała go, że to Mark podjął decyzję, by tej fatalnej nocy sprowadzić jacht hrabiego do brzegu. To Mark postąpił nierozsądnie, podejmując ryzyko, a przecież nikt, z lordem Stantonem włącznie, nie kazał mu tego robić.

Jednak hrabia widział to inaczej.

- Pracował dla mnie - powiedział. - Zawsze dbam o swoich ludzi.

Hrabia był wierny feudalnym przekonaniom. Wprawdzie Freddie jakoś wiązała koniec z końcem jako konserwator, ale hrabia poinformował ją, że od tej pory czuje się odpowiedzialny za nią i jej dzieci.

Zorganizował przeprowadzkę z ich małego mieszkania w Camden do domu zarządcy Stanton Abbey.

- Ale ja nie znam nikogo w Devonie! - protestowała.

- To poznasz.

- Moja praca...

- Możesz ją wykonywać. Jesteś konserwatorką. Będziesz odnawiać posiadłość.

- Ale dzieci...

- Będą chodzić do szkoły, chować się na świeżym powietrzu i mieć olbrzymi teren do zabawy.

Na każdy jej argument hrabia miał kontrargument. Nikt jeszcze nie powiedział mu „nie”. Freddie też się to nie udało.

Była więc teraz bardzo wdzięczna, że nie poprosił o udzielenie gościny swemu wnukowi. Nie wiedziała, jak mogłaby odmówić. Ale musiałyby to zrobić!

Gabe McBride poruszył wszystkie struny, które, zdawałoby się, przestały w niej istnieć po śmierci Marka. Już cztery lata minęły od śmierci męża, a ona nie spojrzała nawet na żadnego mężczyznę.

Jednak dziś spojrzała na Gabe'a McBride'a. A potem wręczyła mu klucz i odesłała go. A najchętniej odesłałaby prosto do Ameryki!

Zbyt dobrze znała te uczucia Zbyt silna fascynacja. To samo czuła do Marka. Kowboj! Tego jeszcze brakowało!

Wystarczy, że raz uległa czarowi niespokojnego ducha - Mark był szalony i nieprzewidywalny. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by zauważyć, że Gabe McBride, bez względu na to jak wiele błękitnej krwi Stantonów płynęło w jego żyłach, był gorącokrwistym, kochającym ryzyko facetem. Przeczytała przecież, co było napisane na jego sprzączce od pasa - że jest mistrzem w ujeżdżaniu byków.

Freddie nie bardzo wiedziała, co trzeba zrobić, by zdobyć takie mistrzostwo, ale była przekonana, że nie jest to bezpieczne zajęcie. Trudno, bez względu na to, ile zawdzięcza hrabiemu, nie będzie służyć gościom w rodzaju Gabe'a McBride'a. Nie ma mowy.

Gabe zawsze uważał się za wytrzymałego i krzepkiego faceta, który potrafi znieść najgorszą pogodę. Bądź co bądź, urodził się i wychował w Montanie. Jednak w ciągu tej pierwszej nocy w Stanton Abbey omal nie umarł z zimna!

Prawie nie zmrużył oka. Przez cały dzień próbował połapać się, gdzie co jest, a w nocy rył w szafach w poszukiwaniu dodatkowych kocy, bo ledwie się położył pod nową stertą, kostniał z zimna. Ogrzewanie wprowadzono sześćset lat po wybudowaniu domu. Dawno już nikt go nie włączał, więc nie potrafiło teraz sprostać ogromnym przestrzeniom. Rury syczały i jęczały. Gabe w końcu wyłączył kulejącą instalację. Nie jest przecież mięczakiem, poradzi sobie.

Zastanawiał się, czy nie napalić w kominku. Jednak kominek był tak wielki, że można by w nim upiec wołu. Gabe uznał, że musiałby wejść do środka i położyć się na palenisku, by się ogrzać. W końcu włożył na siebie wszystkie ciuchy, jakie przywiózł, zagrzebał się w koce i skulił przy piecyku. Hrabia na pewno nazwałby to hartowaniem się.

W drodze do redakcji „Gazette” przejeżdżał obok domu zarządczyni. Przypomniawszy sobie, jak przytulna jest tam kuchnia, jak miły salonik, a gospodyni... cóż, myślał o niej przez całą noc.

Przejeżdżając, obrzucił ostatnim tęsknym spojrzeniem dom i spostrzegł dyskretną tablicę na końcu podjazdu: „Nocleg ze śniadaniem 15 funtów. Obiad za dodatkową opłatą”.

Uśmiechnął się do siebie. Czemu nie wspomniała o tym ani słowem?

Zanim nastąpiła pora lunchu, Gabe doszedł do wniosku, że najchętniej w ramach zmian w „Buckworthy Gazette” wysadziłby w powietrze cały budynek redakcji.

- Proponuję podpalić tę budę, wywalić wszystkich na zbity pysk i zacząć wszystko od nowa - oznajmił hrabiemu, gdy starszy pan zadzwonił do mego po południu. - Budynek prawie się wali, a personel jest do niczego. W całej redakcji

nie ma ani jednego komputera. Prasa drukarska wygląda, jakby przyplęnęła na „Mayflower”...

- Nikt tu nie przyplęwał na "Mayflower" - przypomniał hrabia. - Nadal mieszkamy u siebie.

- Ale oni na pewno nadal używają maszyny z tamtych czasów! Przysięgam, że widziałem gęsie pióro. Dziwię się, że mają chociaż telefon.

- Nie mieli, gdy byłem tam ostatnio - oznajmił wesoło hrabia.

- Kiedy to było? - dopytywał się Gabe. - W zeszłym tygodniu?

- Dobrze, już dobrze - strofował starszy pan. - Sarkazmem nic nie działasz. Ci ludzie są tam zadomowieni.

- I to jeszcze jak...

Cały zespół zebrał się w głównym gabinecie, gdy tylko Gabe się zjawiał. Dwóch reporterów, recepcjonistka i pani do parzenia herbaty w jednej osobie, drukarz oraz sekretarz redakcji stanęli rzędem, ukłonili się i złożyli staroświeckie wyrazy uszanowania.

Nieco zbity z tropu, przypomniał sobie jednak zalecenia Randalla i oświadczył stanowczo wszem i wobec, iż zamierza wprowadzić liczne zmiany, aby „Gazette” zaczęła przynosić dochody.

- Tak, panie McBride.

- Oczywiście, panie McBride.

- Jak pan sobie życzy, panie McBride - usłyszał w odpowiedzi.

- Potrzebny nam jest komputer - oświadczył sekretarzowi redakcji, Percy'emu Pomfret - Mumphreyowi, facetowi równie nadętemu i pretensjonalnemu jak jego nazwisko.

- Komputer? - pisnął Percy.

- Owszem - ciągnął cierpliwie Gabe. - Potrzebna nam baza danych. Zarejestrujemy prenumeratę. Reklamodawców.

Pomyślimy o druku offsetowym - zapowiedział drukarzowi. - I konieczna jest automatyczna sekretarka - oznajmił Beatrice, recepcjonistce, która nie odebrała piętnastu telefonów (policzył), gdyż była zajęta nalewaniem herbaty kolejnym osobom.

- Druk offsetowy... - John, drukarz, zmarszczył nos.

- Automatyczna sekretarka? - Beatrice sprawiała wrażenie osoby, która nigdy o czymś takim nie słyszała.

- O, nie - odezwał się Percy w imieniu wszystkich. - Nie można.

- Dlaczego? - spytał Gabe.

- Nigdy tego nie robiliśmy. - Percy wzruszył ramionami.

- Nie akceptują możliwości żadnych zmian - poskarżył się Gabe hrabiemu. - Jeśli czegoś nie robili w inny sposób, to nie będą tak robili, bo się nie da!

Beatrice oświadczyła, że automatyczna sekretarka zrani uczucia ludzi dzwoniących do redakcji.

- Pomyślą, że nie chcemy z nimi rozmawiać.

- A czy teraz tak nie myślą, kiedy nie odbiera pani telefonu?

- Wiedzą, że jestem zajęta. Zadzzwonią ponownie.

Z kolei wprowadzenie druku offsetowego obraziłoby braci Fuge, powiedział drukarz John. Bracia Fuge przychodzili w środy i pomagali" przygotowywać kasztę drukarską.

- Pomyślą, że nie są już potrzebni - powiedział John. - A tego przecież byśmy nie chcieli.

- A czyje uczucia urazi komputer? - spytał Gabe.

- Niczyje - odparł Percy. - Ale nie mamy odpowiedniej instalacji elektrycznej. Wszystko by siadło, a nie o to przecież nam chodzi.

- Komputer nie ciągnie wiele więcej prądu niż maszyna elektryczna - argumentował Gabe, ale widząc, że wszyscy

wytrzeszczają na niego oczy, rozejrzał się wokół i stwierdził, że są tam wyłącznie maszyny starego typu.

- Jesteśmy dość tradycyjni - poinformował go Percy. - Mamy długą tradycję. „Buckworthy Gazette” to prawdziwa instytucja. Dziennikarski odpowiednik Stanton Abbey, by tak rzec!

No cóż, z tym Gabe mógłby się zgodzić. Personel gazety był równie zapleśniały i trudny do wytrzymania.

Co zrobiłby na jego miejscu Randall? Mógłby go oczywiście o to zapytać. Nie zamierzał jednak przyznawać się do bezradności.

- No cóż, teraz nastąpią zmiany. Zapraszam wszystkich na spotkanie w moim biurze o trzeciej. Naradzimy się, jak rozkręcić gazetę.

Znów wszyscy patrzyli na niego z niedowierzaniem.

- Coś nie tak? Nie odpowiada państwu trzecia? - spytał Gabe, nie tracąc zimnej krwi.

- O trzeciej zwykle pijemy herbatę - odparła Beatrice. Wszyscy przytaknęli.

Gabe powstrzymał westchnienie.

- A ja poproszę teraz o kawę. Czarną.

- Nie mamy kawy.

- A więc to będzie pierwsza wprowadzona przeze mnie zmiana.

Od tej chwili było już tylko gorzej. Percy poinformował, że we wtorki nie ma zebrań.

- Ale dziś będzie - odparł Gabe. - A jeśli nie chce pan w nim uczestniczyć, sugeruję, by zaczął pan porządkować swoje biurko przed odejściem.

Rozległ się zbiorowy pomruk oburzenia.

- Nie może mi pan grozić, panie McBride. Ani mnie zwolnić - oświadczył Percy.

- Nie? - Gabe uniósł brwi.

- Nie. - Percy poszedł do swego pokoju, gdzie wyciągnął z biurka jakieś papiery. - To stanowiło warunek sprzedaży. Gwarancja mojego stałego zatrudnienia.

Gabe przerzucił szybko dokumenty. Stało tam czarno na białym: jeśli ktoś przejmie gazetę, Percy Pomfret - Mumphrey jest nie do ruszenia.

- Dlaczego, do diabła, mnie nie uprzedziłeś, że uwiesi mi się na szyi Percy Albatros? - wściekał się później Gabe w rozmowie z hrabią.

- Aha, poznałeś już Percy'ego? - zachichotał starszy pan. - Jestem pewien, że dasz sobie z nim radę. Jak to było... Mówiłeś, że w dwa tygodnie zrobisz tam porządek?

- Dwa miesiące - syknął Gabe przez zaciśnięte zęby i rzucił słuchawkę.

Uratować „Buckworthy Gazette” w dwa tygodnie? Na to potrzeba chyba dwóch tysiącleci!

Gabe zamknął się w osobnym pokoju i zaczął przeglądać ostatnie egzemplarze „Gazette”, by połapać się, o co w tym wszystkim chodzi. Od czegoś musiał zacząć, a analiza produktu końcowego wydała mu się najlepszym sposobem na odkrycie, jakie zmiany należy wprowadzić na etapie produkcji.

Tak samo było z odnawianiem stada. Wystarczyło spojrzeć na wołowinę, by zorientować się, co jest nie tak. I wtedy trzeba się zabrać do wprowadzania zmian. Jednak nie można tego zrobić, gdy nie zna się zwierząt i pastwiska.

Za dziesięć piąta Beatrice oznajmiła, że jest do niego telefon.

- Co znowu! - warknął Gabe w słuchawkę, sądząc, że to hrabia.

- Gabe? Jak ci leci? - To był Randall. Zdenerwowany, zmartwiony Randall, sądząc po głosie. - Czy wszystko w porządku?

- Oczywiście! A co myślisz?

Gabe mógł narzekać w rozmowie z hrabią zaledwie przed godziną, ale nie zamierzał skarżyć się Randallowi. Piśnie słowo, a jego obowiązkowy kuzyn przyleci najbliższym samolotem.

- Pomyślałem, że może przyda ci się moralne wsparcie...

- Niekoniecznie. Wszystko w porządku - skłamał przez zaciśnięte zęby.

- Naprawdę? - spytał Randall z niedowierzaniem, choć wyraźnie podniesiony na duchu.

- Nie ma się czym martwić - zapewnił Gabe. - Dziecko dałoby sobie z tym radę. - Dziecko wyposażone w materiały wybuchowe, dodał w myślach. - A jak tam u ciebie?

- Świetnie - odpowiedział szybko Randall, z wymuszonym entuzjazmem w głosie. - Lepiej być nie może.

A więc pan Kompetentny nie ma żadnych problemów? Gabe poczuł się dotknięty do żywego. I jeszcze bardziej zdecydowany poradzić sobie z obecnymi trudnościami. Rozmasował dłonią kark i powiedział:

- No to znajdź sobie jakieś fajne zajęcia. Rąb drewno, karm bydło, siedź przed kominkiem... Odpoczywaj, cholera. I przestań do mnie wydzwaniać!

- Tylko sprawdzałem... Cieszę się, że wszystko dobrze idzie... - bronił się Randall.

- Oczywiście - potwierdził stanowczo Gabe. - Nie dzwoń więcej.

Gdy opuszczał biuro, było już po szóstej, a na dworze panowała wilgoć i ziąb. Wykonał trzy rundy do samochodu, przenosząc stosy korespondencji dotyczącej spraw finansowych, papiery z księgowości i stare numery gazet. Wreszcie usiadł za kierownicą i ruszył w stronę posiadłości.

Oczywiście ani myślał tam wracać. Od razu zajechał przed dom zarządczyni. Tkwił sobie ciepły i zapraszający na

wzgórzu, rozświetlone okna wesoło wyglądały zza gałęzi drzew. A w środku była Freddie Crossman. Freddie o bujnych włosach, w kwiecistej koszulce nocnej. Freddie w obcisłych dżinsach i o wesołych oczach. Zaparkował na tyłach domu i zapukał do kuchennych drzwi.

Dostrzegł ją przez firaneczki zasłaniające oszkloną górną część drzwi. Gdy otworzyła, nie wyglądała na zaskoczoną, raczej na zmartwioną. Zrobił użytek ze swego najlepszego uśmiechu a la kowboj z Montany.

- Zauważyłem tablicę ogłoszeniową. Pensjonat. Nocleg ze śniadaniem. Odpowiada mi to.

Freddie otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia i zaczęła przymykać drzwi.

- Ale...

- Nie masz kompletu gości. - Tego akurat był pewien.

- Nie, ale...

- Lubię króliki - zapewnił. - I dzieci - dodał, widząc dwójkę, wyglądającą zza drzwi prowadzących do jadalni.

Wpuściła go do środka. Co miała zrobić?

Freddie powtarzała sobie przez calutki dzień, że przesadza z obawami, że ogłupił ją uciekający królik i dlatego drżała na dźwięk głosu Gabe'a i miękkiego akcentu z Montany. Dlatego czuła to samo mrowienie w okolicach serca, które poznała, gdy po raz pierwszy spotkała Marka. Jednak myliła się.

Gabe McBride podziałał na nią tak samo jak poprzedniego dnia, odbierając zdrowy rozsądek i powodując zachwianie równowagi emocjonalnej. Była głupia, że mu otworzyła. Ale nie miała wyboru. Chodziło o zobowiązania wobec jego dziadka. A poza tym, jak wyjaśniłaby dzieciom, którym wpajała, że gościnność jest cnotą, iż nie dotyczy ona Gabe'a McBride'a?

Charlie i Emma byli bardzo ciekawi gościa. Freddie przedstawiła ich sobie, a potem kazała Charliemu przynieść

rzeczy Gabe'a z samochodu, sama zaś pokazała mu jeden z pokoi gościnnych na zaadaptowanym strychu. Emma podreptała za nimi, wyraźnie zafascynowana kowbojskimi butami przybysza.

- Dlaczego je nosi? - spytała szeptem Charliego.

- Bo jest kowbojem - odparł Charlie.

Gabe musiał usłyszeć, gdyż obejrzał się i posłał chłopcu uśmiech.

Freddie nałożyła Gabe'owi na talerz potrawę, którą przygotowała na kolację, a którą właśnie skończyli jeść.

- Czy na pewno was nie objadam? Mogę pójść do pubu.

- Jest tego mnóstwo - zapewniła, wskazując mu miejsce przy stole.

Dzieci stały, gapiąc się, jak przybysz je. Freddie, gestykulując za jego plecami, próbowała nakłonić je, by sobie poszły, ale bezskutecznie.

- Czy pan naprawdę jest kowbojem? - spytała Emma. Widząc stroskany wyraz jej twarzy, Freddie przypomniała sobie, że pani Peek niedawno określiła mianem „kowbojów” niekompetentnych hydraulików - naciągaczy.

- Nie tego rodzaju - pospieszyła więc z wyjaśnieniem Freddie.

- A ile jest rodzajów? - spytał Gabe, unosząc ze zdziwieniem brwi. Zajadał się zapiekanką z takim apetytem, jakby od tygodni nic nie miał w ustach.

- Tacy z telewizji i tacy, co wszystko psują - poinformował Charlie.

- Tak funkcjonuje to słowo... tutaj - wytłumaczyła Freddie.

- To nie komplement.

- Nie - pokręciła głową.

- Będę musiał nad tym popracować Wiesz, jacy są prawdziwi kowboje, prawda? - spytał Charliego.

Chłopiec pokiwał z przejęciem głową.

- Widziałem w telewizji. Zabija pan Indian?

- Nie, pracuję z nimi.

- Czy umie pan jodłować i grać na gitarze? - zainteresowała się Emma.

Gabe roześmiał się.

- Widzę, że przybyłem tu w samą porę - odezwał się do Freddie. - „Gazette” to tylko połowa mego zadania. Muszę zostać tu na jakiś czas również po to, by zmienić mylne pojęcie pani dzieci o kowbojach...

Rodzinną siedzibą nie mogła się równać z domkiem zarządczyni, w którym były ciepłe pokoje, dobre jedzenie i miękkie łóżko. I nawet jeśli nie udało mu się dzielić tego ostatniego z Freddie Crossman, już samo jej towarzystwo sprawiało Gabe'owi przyjemność. Niestety, nie udawało mu się spędzać z nią zbyt wiele czasu.

Zawsze, gdy on był w pobliżu, miała pełne ręce roboty - gotowała, podawała do stołu, sprzątała, zmywała. Prawie nie siadała.

Lubił patrzeć, jak się krząta, i wsłuchiwać się w jej głos z miękkim akcentem. Przypominał mu, o dziwo - a może wcale nie było to takie dziwne - dom. Bądź co bądź, jego matka była Angielką. Jej akcent niewiele się różnił od akcentu Freddie.

Jednak akcent był jedyną rzeczą, jaka wywoływała skojarzenia z matką.

Uczucia, które w nim budziła, nie miały nic wspólnego z jej macierzyńskimi talentami. Bo bez wątplenia była świetną matką. Charlie i Emma byli uprzejmi i dobrze wychowani, ale nie zachowywali się jak jakieś małe roboty. Byli pełni zapału, ciekawscy i łazili za Gabe'em jak małe psiaki.

Bardzo polubił te dzieciaki. Uwielbiał słuchać, jak Charlie wyjaśnia mu zasady krykieta, i zawsze chętnie godził się na degustację wszelkich smakołyków, które Emma

przygotowywała z mamą. Lubił opowiadać im historie o zajęciach kowbojskich i o rodeo. Sprawiało mu frajdę patrzeć na ich wytrzeszczone z ciekawości oczy i rozdziawione z niedowierzania buzie. Lubił mocować się na podłodze salonu z Charliem i z przyjemnością chodził na czworakach, wożąc Emmę w charakterze jej rumaka, podczas gdy Charlie udawał, że jest za duży, by mieć ochotę na takie zabawy. Gabe lubił zabawy z dziećmi, bo sprawiały mu przyjemność, ale zajmował się nimi głównie po to, by zbliżyć się do ich matki.

- Charlie, nie bądź natrętny... - mówiła.

- Emmo, zostaw pana McBride'a w spokoju - strofowała.

- Ale my się świetnie bawimy - protestował. - Chodź tutaj. Usiądź z nami - powiedział, klepiąc miejsce na sofie obok siebie. Wiedział, że Freddie też ma ochotę posłuchać jego historyjek. Wiedział, że ją interesują, że on ją też interesuje.

Kobiety ciągnęły do Gabe'a McBride'a jak pszczoły do miodu, od kiedy skończył dwanaście lat. Od razu wiedział, że na nie działa - nawet na Freddie, choć udawała, że jest inaczej.

- Dlaczego jesteś ciągle taka spięta? - spytał ją trzeciego wspólnie spędzanego wieczoru.

Z dziećmi zdążył się już bardzo zaprzyjaźnić, ale Freddie wciąż trzymała się na dystans.

A tak się przecież starał. Był zabawny, czarujący, bawił się z jej dziećmi. Zresztą naprawdę je lubił, więc nie było to jakieś poświęcenie. Poprzedniego wieczoru zabrał je nawet na kolację, mimo protestów Freddie. Dziś wieczorem był na przedstawieniu szkolnym Emmy, bo go zaprosiła, a Freddie zachowywała się przez cały czas tak, jakby go tam nie było.

Teraz odnalazł ją, gdy dzieci już poszły spać. Siedziała w salonie, naszywając łąkę na spodnie Charliego. Rzuciła mu

ostrożne spojrzenie, gdy zjawił się nagle obok i usiadł na sofie niedaleko jej krzesła.

- Spięta?

- Zachowujesz się, jakbyś miała się za kogoś lepszego.

- Ja? - prychnęła Freddie, oblewając się rumieńcem.

Gabe uśmiechnął się i rozprostował obolałe ręce nad głową. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że praca za biurkiem może być bardziej męcząca od harówki na ranczu.

- Widzisz, sama przyznajesz!

- Wcale nie.

- W takim razie świetnie udajesz. Rozluźnij się trochę. Jesteś taka piękna, kiedy się uśmiechasz.

Mruknęła coś z dezaprobatą, a jej policzki znowu poróżwiały.

- Popatrz, o tak - uśmiechnął się na pokaz i został nagrodzony lekkim wygięciem kącików jej ust. - I pozwól dzieciom się ze mną bawić.

- Nie chcę, żeby ci przeszkadzały. Jesteś płatnym gościem, więc...

- Więc przez wzgląd na wymogi gościnności powinnaś się postarać o to, bym czuł się tu jak w domu.

- Staram się, ale...

- Bardzo się starasz - przyznał. - Proszę, jeszcze jeden uśmiech. To ci nie zaszkodzi. Zapłacę za to ekstra.

Freddie nie mogła opanować śmiechu. Dzięki temu Gabe zapomniał o wszystkich troskach minionego dnia. Nadęty Percy, skwaszona Beatrice i John, którego milczenie miało wyrażać dezaprobatę - stali się w jednej chwili mało ważni.

Gabe też się uśmiechnął.

- Tak lepiej - powiedział miękko, po czym wyciągnął rękę i jednym palcem dotknął jej dłoni.

Oczywiście gwałtownie cofnęła swoją.

- No dobrze, pozostaniemy przy uśmiechach - powiedział. -
Na razie...

Nie dotknął jej po raz drugi. Ale nawiązał z nią kontakt i to było najważniejsze.

- Słyszałam, że masz lokatora - powiedziała pani Peek, uważnie wpatrując się we Freddie znad filiżanki herbaty.

Minęły już cztery dni, od kiedy Gabe McBride wtargnął w jej życie i Freddie była pewna, że pani Peek od dawna o tym wie. Jednak w ciągu ostatnich dni wciąż lało albo padał śnieg z deszczem. Dopiero tego ranka roz pogodziło się nieco, choć trochę mżyło. Mżawka nigdy nie stawała na przeszkodzie pani Peek.

Freddie skupiła się na obieraniu jabłek do szarlotki.

- Przeważnie go nie ma, więc to żaden kłopot - powiedziała.

- Oczywiście - zachichotała pani Peek. - To żaden kłopot, gdy przystojny mężczyzna znajdzie się przy twoim stole. A jeszcze lepiej, w łóżku. - A gdy Freddie odwróciła się gwałtownie, by zaprotestować, dodała: - Czas, byś wyszła za mąż, moja droga.

- Nie myślę o powtórny zamążpójściu.

- Gadanie! Młoda kobieta potrzebuje męża. Nie ma sensu tak wędnać samotnie. Ja nigdy tak nie robiłam.

Pani Peek nie była gołosłowna - poza romansiem z hrabią zakosztowała też małżeństwa - i to czterokrotnie. Ostatnio owdowiała przed rokiem - gdy Thomas Peek odszedł zeszłej zimy.

- Wykorzystaj swoją szansę, moja droga. Nie co dzień staje w twoim progu porządny mężczyzna.

Tym „porządnym mężczyzną” miał być naturalnie Gabe McBride. Freddie przypuszczała, że rzeczywiście nim jest. Prawdopodobnie. Naprawdę ciężko pracował w „Gazette”. Poza tym człowiek, który doprowadza Percy'ego do szału - a

tak było, jak głosiła miejscowa plotka - nie może być tak całkiem zły. Jednak był niebezpieczny - zagrażał wewnętrznemu spokojowi Freddie.

Od kiedy Gabe zjawił się w jej domu, nie przespalała porządnie żadnej nocy. Leżąc w łóżku, nasłuchiwała jego kroków piętro wyżej, czuła wciąż jego obecność przy wspólnych posiłkach, a poprzedniego wieczora omal nie wyskoczyła ze skóry, gdy naumyślnie dotknął jej ręki. Co on sobie wyobrażał?

Nie udawaj idiotki, Freddie, upomniała siebie w duchu. Przecież było jasne, o co mu chodzi - podrywa ją. Flirtuje. Patrzy na nią tak, jakby wiedział, że to tylko kwestia czasu, zanim będzie ich łączyć coś więcej niż piętnastofuntowa opłata za pokój plus posiłki.

- Dzieciom też przydałby się mężczyzna - ciągnęła pani Peek, nieświadoma uczuć, które targały Freddie. - A widać, że je lubi.

A one wręcz go uwielbiały. Były zachwycone, że w ich domu mieszka najprawdziwszy kowboj z Montany. Od chwili gdy Emma zweryfikowała swoje pojęcie na temat tego, kto to jest „kowboj”, była nim równie urzeczona jak Charlie. Freddie starała się, by dzieci nadmiernie się nie narzucały, lecz on wcale nie miał nic przeciwko temu.

Pozwalał Charliemu człapać po domu w swych kowbojskich butach i nosić swój pas ściśnięty mocno na wąskiej talii chłopca, który udawał mistrza w ujeżdżaniu byków.

Ku jej przerażeniu, Gabe opowiedział dzieciom dokładnie, na czym polega to zajęcie, a one słuchały go z rozdziawionymi buziami. Poprzedniego wieczoru zastała go w sypialni Charliego, z obojgiem dzieci, które dawno już powinny spać, jak siedząc z nimi na łóżku, mówił:

- To jest jak galopowanie na wietrze. Jakby się było porwanym przez huragan. Wiecie, co to huragan, prawda?

Gdy Freddie stanęła w drzwiach, ujrzała oczy córki rozszerzone z ciekawości.

- To taka zawierucha - powiedziała Emma. - Wielka zawierucha.

- Tak. No więc wyobraźcie sobie, że jest tuż pod wami. Wielka, wściekła krowa, która marzy o tym, żeby ubóść was rogami. Byk gapi się na was, przewraca oczami, sapie...

- Czas spać - ucięła Freddie.

- Jeszcze nie, mammo! - zaprotestował Charlie.

- Musimy usłyszeć, co było dalej. Naprawdę! - pisnęła błagalnie Emma. - Gabe, opowiedz!

- Panie McBride - poprawiła Freddie. Gabe uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Mówiłem już przecież, że przyjaciele mówią sobie po imieniu.

A bez wątpienia jej dzieci uważały go za swego przyjaciela. Podczas gdy Freddie starała się trzymać go na dystans, Charlie i Emma starali się jak najbardziej do niego zbliżyć.

Freddie wiedziała, że brakuje im rozpaczliwie ojcowskiej ręki. Ale ujeżdżacz byków? Mogliby sobie upatrzeć innego mężczyznę do zaspokojenia swych tęsknot.

- Prawie dziesiąta!

- Proszę, mammo. - Oczy Charliego płonęły entuzjazmem, jakiego, obawiała się już, może więcej nie zobaczyć. Miał sześć lat, gdy Mark utonął - był na tyle duży, by pamiętać ojca i tęsknić za nim i wspólnymi przygodami.

- Będę się streszczał - obiecał Gabe. - Nie chcesz przecież, żeby z przejęcia nie mogli zasnąć, co, Fred?

I jeszcze to! Fred!

Zaczął tak się do niej zwracać następnego dnia po przyjeździe i bardzo śmieszył tym dzieci. Fred!

Nikt nie ośmielił się nigdy tak ją nazywać. Nawet Mark, który był najbardziej bezceremonialnym człowiekiem, jakiego znała. A Gabe sobie na to pozwalał! Teraz patrzył na nią wyzywająco, z szerokim uśmiechem na ustach. Jego błękitne oczy śmiały się, drażniły z nią. Od tak dawna nikt się z nią nie droczył.

Freddie zdołała jakoś oprzeć się i temu uśmiechowi, i niepokojącemu spojrzeniu. Jednak nie mogła oprzeć się chęci wysłuchania historii do końca. Zacisnęła usta.

- No dobrze, ale opowiedz szybko.

- Osiem sekund - obiecał uroczyście Gabe. Poklepał łóżko, gdzie siedział pomiędzy Charliem a Emmą. - Siadaj, Fred. Przyjmij swą dzienną dawkę kultury amerykańskiej.

- Muszę ułożyć pranie.

- Posłuchaj, mamó! - poprosiła Emma. - To takie straszne! - Zadrżała lekko i wpatrzyła się w Gabe'a z radosnym wyczekiwaniem.

- Osiem sekund - przyrzekł ponownie Gabe. - Frederico...

To była gałązka oliwna. A w każdym razie coś w tym rodzaju.

Freddie niechętnie usiadła na łóżku.

Opowieść trwała dłużej niż osiem sekund, które ujeżdżacz byków musi utrzymać się na grzbiecie rozsierzonego byka, by jazda została zakwalifikowana. Zakwalifikowana jako co? zastanawiała się Freddie. Chyba jako przepustka do domu wariatów.

W każdym razie upłynęło co najmniej pięć minut, zanim Gabe opisał szczegółowo każdą z owych ośmiu sekund, wszystkie skrety, podskoki i szarże rozwścieczonego zwierzęcia. Dzięki tej barwnej relacji Freddie mogła bez trudu wyobrazić sobie każdą koszmarną chwilę od momentu

otwarcia bramki aż po zeskok i ucieczkę do płotu, który należało przesadzić, by ująć z życiem przed rogami rozjuszonego zwierzęcia.

- Ale udało ci się, prawda? - spytała Emma, zachłystując się z emocji.

- Pewnie, że tak - rzucił Charlie. - Przecież tu siedzi, nie?

Gabe objął Emmę i powiedział:

- Jestem tu, słoneczko.

Łagodny sposób, w jaki patrzył na jej córkę, sprawił, że Freddie aż ścisnęło się serce. A może chodziło o to określenie - słoneczko. Miała nadzieję, że na Emmie nie zrobiło aż tak silnego wrażenia.

Bądź co bądź, Gabe był tu tylko przejazdem. Przyjechał, by zrobić porządek z „Gazette”, i to wszystko. W Montanie ma swoje życie. Nie zostanie tu na dłużej.

Freddie gwałtownie wstała.

- Bardzo ciekawe. I ciekawie opowiedziane - rzuciła szybko. - No, a teraz czas spać - zwróciła się do dzieci.

- Ale... - zaczął Charlie, chcąc wyprosić jeszcze jedną historyjkę.

Gabe również wstał.

- Słyszeliście, co powiedziała mama? Czas walnąć się w sianko.

- Takie jak je krowa? - zachichotała Emma. Gabe zmierzwił jej włosy na czole.

- Takie, na jakim kładzie się kowboj albo kowbojka.

- To można być kowbojką? - spytała Emma, wpatrując się w niego szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma.

- No jasne. Znam nawet jedną w Montanie... - powiedział, jakby przypomniał sobie kogoś szczególnie bliskiego.

- Ma na imię Claire.

Jego dziewczyna? zastanawiała się Freddie. Czy Claire z utęsknieniem wyczekuje jego powrotu? Pewnie tak.

Pomyślała, że Amerykanki są równie podatne na jego czar jak ona, nawet jeśli nie stanowi dla nich tak egzotycznego obiektu westchnień.

Emma nie zastanawiała się nad tym, co matka.

- Czy mogłabym zostać kowbojką? - dopytywała się. Gabe skinął głową.

- Najpierw walnij się w sianko na dobry początek. Emma pozwoliła mu się doprowadzić za rękę do swej sypialni, lecz nie przestawała wpatrywać się w niego i zadawać pytań.

- A co jeszcze robią kowbojki?

- To samo, co kowboje - rozjaśnił się w uśmiechu Gabe.

- Ale uważają, że wszystko robią lepiej.

- Nauczysz mnie? - spytała Emma, chichocząc.

- Emma! - zaprotestowała Freddie. - Pan McBride...

Gabe ma dużo pracy. To bardzo miłe z jego strony, że znajduje czas na opowiadanie wam historyjek.

- Mógłby też pokazać mi różne rzeczy - nie dawała za wygraną Emma.

- Na przykład, jak się łapie na łąso - dopowiedział Charlie. - Albo znakuje...

- Znakowania nie, ale rzucania lassem mogę was nauczyć.

- Nie mamy liny - zaproponowała szybko Freddie. Gabe zdawał się nie słyszeć.

- Może znajdziemy jakieś konie i zrobimy sobie przejażdżkę.

- Wystarczy! - powiedziała Freddie podniesionym głosem. - Czas spać. - Spojrzała groźnie na Gabe'a. - Osiem sekund. Obiecałeś.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz napotkawszy jej wzrok, zamknął je. Skinął głową i spojrzał na dzieci.

- Idźcie spać - powiedział łagodnie. - Kowboje i kowbojki zawsze słuchają szefa.

Niestety, w „Gazette” nie pracowali żadni kowboje ani kowbojki. Tak więc Gabe musiał wszystko robić sam. Wezwał miejscowego elektryka, by unowocześnił okablowanie. Zamówił trzy komputery z oprogramowaniem. Kupił kawę.

Następnie postanowił czekać, jak zapewne zrobiłby Randall, aż pracownicy „Gazette” zmienią swoje nastawienie i zabiorą się do pracy w odmiennych warunkach, narzuconych przez nowego szefa.

Minęło półtora tygodnia, a wciąż nie było żadnej poprawy. Za to coraz więcej problemów. Nie dość, że Anglicy nie rozumieli tego, co mówił, nawet mieli inne słowa na określenie tych samych rzeczy! Komputer stały na biurkach nietknięte, a opakowanie z oprogramowaniem nawet nie zostało otwarte, tak samo zresztą jak kawa.

Artykuły były równie nadęte i oderwane od życia miasteczka, jak poprzednio. I nie pojawili się żadni miejscowi reklamodawcy, choć Gabe polecił Beatrice, by obdzwoniła wszystkie sklepy w mieście.

Gabe rwał sobie włosy z głowy. A tyle było gadania o autorytecie, byciu panem i władcą. To mogło poskutkować w przypadku Randalla, ale w jego wypadku zawiodło.

Oczywiście Randall miał za sobą reputację człowieka, który potrafi ciężko pracować i podejmować słuszne decyzje. Wiedzieli, że mogą mu zaufać. Gabe nie miał reputacji, na której mogli polegać. Był jak nowy zarządca - nie sprawdzony, jeszcze niegodny zaufania. Tak samo jak nowy szef na farmie, musiał się sprawdzić. W tym właśnie tkwił problem. Przez cały czas próbował postępować jak Randall, a powinien po prostu być sobą.

Wstał zza biurka i wrzucił wszystko, co mu się nawinęło pod rękę, do teczki. Do teczki! Na co mu przyszło! Następnie oświadczył głośno, że wraca do domu.

- Do domu? - spytała Beatrice. - To znaczy do Ameryki? Percy spojrzał triumfalnie znad papierów.

- Wystarczy tych kowbojskich metod... - mruknął pod nosem, gdy Gabe szedł w stronę drzwi.

Gabe zatrzymał się i gwałtownie odwrócił.

- Na razie jadę do domu pani Crossman, by wytyczyć nam nowy szlak. Zjawię się w poniedziałek z samego rana - ciągnął, wodząc wzrokiem po twarzach i na koniec zatrzymując go na Percym. - Przygotujcie się na prawdziwą kowbojską jazdę - rzucił, uśmiechając się lekko.

ROZDZIAŁ TRZECI

Powiadano, że w Stanton Abbey straszy. Że błąka się tam Duch przez duże D. Duch mnicha, który nie może zapomnieć, że został dręczony wraz ze swymi braćmi przez Henryka VIII. Freddie nigdy go nie spotkała. Zresztą nie wierzyła raczej w obecność kogoś, kogo nie widać - zanim zjawił się Gabe McBride. Nawet jeśli nie był obecny ciałem, bo przebywał właśnie w redakcji czy w pobliskim pubie - czuła jego obecność.

Nic dziwnego, skoro dzieci bez przerwy o nim mówią, pomyślała z irytacją. Zdawała sobie jednak sprawę, że sama nie jest bez winy - jak magnes ciągnęła do niewłaściwych mężczyzn.

Gdyby wychodziła do pracy, mogłaby jakoś oderwać myśli, zająć je czym innym. Jednak ona wciąż spędzała czas w majątku oraz w siedzibie Stantonów, gdzie ze wszystkich ścian spoglądali na nią przedstawiciele licznych pokoleń tej rodziny, a wielu z nich miało takie same ciemne włosy i przenikliwe błękitne oczy, jak Gabe McBride. Czuła się, jakby otaczały ją wizerunki mężczyzny, którego nie mogła wyrzucić ze swych myśli.

A potem wracała do domu, gdzie czekał na nią on.

Był już niemal na prawach członka rodziny, tak jak sobie tego życzył. Dzieci były zachwycone - w przeciwieństwie do Freddie. On był zbyt przystojny, zbyt aktywny, zbyt... męski.

Przez niego pragnęła rzeczy, których, jak sądziła, nie powinna pragnąć. Sprawiał, że dzieci też pragnęły rzeczy, których pragnąć nie powinny - przygody, niebezpieczeństwa, ryzyka...

- Mała przygoda nikomu nie zaszkodzi - przekonywał Gabe. - Są zbyt zahukane. Potrzebują emocji.

Freddie uważała, że jego historyjki wystarczająco je emocjonują. Zarówno Gabe, jak i dzieci, byli innego zdania.

Gdy obudziła się w sobotni poranek, dom był dziwnie cichy. Najpierw pomyślała, że wszyscy jeszcze się wylegują w łóżkach, ale już po chwili zdała sobie sprawę z tego, że choć Gabe mógł już doceniać późne sobotnie wstawanie, Charlie i Emma za nic nie marnowałyby sobotniego poranka na sen. Coś było nie w porządku.

Freddie wyskoczyła z łóżka, narzuciła szlafrok i pobiegła do sypialni dzieci. Jak przypuszczała, zastała je puste. Zbiegła pędem po schodach. Świeżo umyte miseczki śniadaniowe stały na suszarce. Stół był wytarty i leżał na nim jakiś liścik.

„Pojechaliśmy, by zostać kowbojami - napisał Charlie. - Na polu Boltów”.

Kowbojami? Na polu Boltów? Josiah Bolt wypasał tam owce! Nie, to niemożliwe.

A jednak, gdy w pół godziny później stanęła przy kamiennym ogrodzeniu pola Bolta, ujrzała, jak Gabe demonstrował Charliemu zarzucanie lassa na przerażoną owcę.

- Owiec nie łapie się na lasso! - zawołała Freddie, przełaząc przez ogrodzenie.

- Ja łapię - odparł Gabe, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Josiah się wścieknie! To niełatwy sąsiad i naprawdę lepiej z nim nie zadzierać. Już ja go znam. Oskarży nas, że psujemy jakość wełny.

Gabe wybuchnął śmiechem.

- Naprawę tak będzie - zapewniała Freddie. - A zresztą to rzeczywiście nie służy owcom. To znaczy... one nie nadają się do łapania na lasso. Stantonowie zawsze dbali o wysoką kulturę rolniczą. Stanowią wzór, więc...

Gabe zsunął kapelusz na tył głowy.

- Przekonałaś mnie. Nie będziemy łapać owiec na lasso. Dzieci spojrzwały ze smutkiem na Gabe'a, a na matkę z wyrzutem.

- Nie będziemy łapać owiec - dodał Gabe. - Znajdziemy sobie coś innego - obiecał. - Może pożyczymy skądś krowę. - Spojrzał na Freddie. - Kto hoduje krowy?

- Hrabia, oczywiście. Ma rasowe herefordy.

- No nie, on by mnie obdarł ze skóry. Potrzebna nam jakaś emerytowana krowa.

Parę godzin później mieli Stellę.

Była to duża, brązowa krowa uwalana błotem. Dowiedzieli się o niej od pani Peek, która wpadła na chwilę i powiedziała, że pan Ware ma zamiar sprzedać Stellę, bo daje za mało mleka.

- Wcale tego nie chce - mówiła pani Peek. - Ta krówka jest jakby członkiem rodziny. Ale interes to interes. Jak nie uda jej się sprzedać, trafi do rzeźnika.

- Rzeźnika? - spytały jednocześnie przerażone dzieci.

- Kupimy ją - zdecydował Gabe.

Pan Ware przyprowadził ją do domu zarządczyni jeszcze tego popołudnia. Gabe umieścił zwierzę w małej oborze.

- Nie hodujemy krów - zaprotestowała Freddie.

- A właśnie, że tak.

I najwyraźniej miał rację. Dzieci były zachwycone. Gabe wyglądał, jakby spadł mu z barków jakiś wielki ciężar. Pogwizdując, przyniósł Stelli siana.

- Widzę, że bardzo o nią dbasz - rzuciła Freddie z przekąsem.

- Przecież sama mówiłaś o konieczności utrzymywania wysokiego poziomu kultury rolniczej.

- Owszem. - Patrzyła, jak Gabe wrzuca siano do przegrody. - Kto ją będzie doił? - spytała.

Zamrugnął oczami i zaczerwienił się nieco. Podrapał się za uchem i zagryzł usta. Rozejrzał się z zakłopotaniem.

- Jesteś kowbojem - przypomniała mu Freddie.

- Nigdy nie doilem krowy.

- Nigdy? - spytała ze zdziwieniem.
- Kowboje tego nie robią!
- A właśnie, że tak - powiedziała z uśmiechem.

Widać było, że nie pali się do tego zajęcia, lecz kiedy powiedziała, że skoro on może uczyć Charliego i Emmę łapania na lasso, ona może chyba nauczyć go dojenia krów, podniósł głowę i spojrział na nią z uśmiechem.

- Pewnie tak. Ale musisz mi pokazać, jak to się robi. Freddie, która ostatnio doła krowę, gdy miała dwanaście lat i spędzała wakacje na małej farmie dziadków w Somerset, odparła niepewnie:

- Oczywiście.

Teraz ona będzie miała kontrolę nad sytuacją i trochę utrzyma nosa. Jednak już w chwilę później, gdy usiadła przy boku Stelli, a obok niej Gabe i jego palce znalazły się pod jej dłońmi, gdy usiłowała pokazać mu, jak naciskać na wymię, zaczęła się zastanawiać, czy miała dobry pomysł. Ich dłonie i uda stykały się, głowy były tak blisko siebie, że muskała włosami jego policzek i czuła na swoim policzku jego włosy. Słyszała jego oddech, poczuła go nawet na swych ustach, gdy odwrócił się do niej z uśmiechem, kiedy pierwszy strumień mleka trysnął wreszcie do wiadra. Jego usta były tak blisko, coraz bliżej...

- Nie ma co! - zawołała, zrywając się tak gwałtownie, że o mało nie przewróciła Gabe'a i wiadra. - Masz rację. Kowboje nie doją krów. Ja to zrobię.

Zaśmiał się, patrząc na nią z dołu, gdyż wciąż siedział przy Stelli.

- Na pewno tego chcesz, Fred?

- Tak, Gabrielu - powiedziała, zarumieniwszy się mocno. Ten „Gabriel” miał przywołać go do porządku i dać do zrozumienia, że nie jest żadną tam Fred. Ale on tylko się uśmiechnął.

- Mama dała mi anielskie imię - powiedział.

- Dała ci imię po siedmiu przodkach z rodu Stantonów. Gapią się na mnie codziennie ze ścian twojej rodowej siedziby.

- A wtedy myślisz o mnie - powiedział Gabe z uśmiechem.

- Wcale nie!

- Kłamczucha - powiedział miękko i zaczepnie, a Freddie aż przeszedł dreszcz.

Nie doszło do dalszej sprzeczki, bo do obórki wpadli Charlie z Emmą.

- Czy jest wydojona? Możemy zaczynać łapanie na łąso? - spytał chłopiec.

- Jeszcze nie - odparł Gabe. - Musi trochę ochłonać. Spojrzył w oczy Freddie, a ona się zaczerwieniła. Podniosła szybko wiadro i ruszyła w stronę domu.

- Idę przygotować obiad - powiedziała, starając się przyjąć rzeczowy i obojętny ton. - A wy możecie pobawić się w kowbojów przez godzinę.

- Bez Stelli to żadna zabawa - orzekł ponuro Charlie.

- Nie ma nic do roboty, jeśli nie można łapać Stelli na łąso - dodała Emma.

- Idźcie z panem... z Gabe'em do zamku. Może uda wam się złapać na łąso ducha.

Często zabierali swych gości do zamku. Opowiadanie historii o duchu też było dobrą zabawą. A potomek panów, do których duch miał pretensje o zajęcie domu, był wdzięcznym słuchaczem.

- Jaki znowu duch? O czym ty mówisz? - spytał zdezorientowany Gabe.

- Nie słyszałeś o duchu?

- Randall opowiadał mi kiedyś różne historie, ale mu nie wierzyłem.

- A może powinieneś... - powiedziała z figlarnym błyskiem w oku. - Charlie ci wszystko o nim opowie.

Charliego nie trzeba było długo prosić.

- On jest mnichem... - zaczął. - Ma prawie siedem stóp wzrostu i nosi swoją głowę pod pachą.

- Charlie! - upomniała.

- Przepraszam. - Chłopiec uśmiechnął się do Gabe'a. - On ma głowę na swoim miejscu. Ale w bezksiężycowe noce błąka się, wyjąc, po zamku, bo jest bardzo nieszczęśliwy, dlatego że Henryk VIII wyrzucił mnichów z ich siedziby i...

Oddalili się na tyle, idąc w stronę zamku, że przestała ich już słyszeć. Odetchnęła z ulgą.

- Mógł mnie pocałować - powiedziała do Stelli, wciąż drżąc z emocji.

Stella spojrzała na nią obojętnie, żując siano.

Obiad był już gotowy, a stół nakryty. Drzwi otworzyły się na oścież i do kuchni wpadły dzieci, a za nimi wszedł Gabe.

- Przenocujemy w zamku! - zawołał chłopiec.

- I zobaczymy ducha! - krzyknęła dziewczynka.

- A potem wszystko opiszę - ciągnął Charlie.

- Dziś w nocy - zakończyła Emma.

Freddie popatrzyła ze zdziwieniem na dzieci, a potem na towarzyszącego im mężczyznę.

- Co takiego? - spytała z niedowierzaniem.

- Zamierzamy przenocować w zamku - wyjaśnił Gabe.

- Zobaczyć, jak się prezentuje ten mnich. A potem opiszemy go w „Gazette” dla dalszych pokoleń.

Freddie nie wierzyła własnym uszom.

- Naprawdę, to chyba nie jest dobry pomysł... - zaczęła, lecz głos jej się załamał, widząc, jak wszyscy troje wpatrują się w nią z zapartym tchem. Dzieci miały błagalny wyraz oczu.

- Nie będziemy się bali, obiecujemy, mamoo...

- Oczywiście, że nie - powiedziała Emma, zagryzając dolną wargę.

Freddie ujrzała, jak mała rączka jej córki wędruje w górę i chwyta silną dłoń Gabe'a.

- Charlie od dawna o tym marzył - przekonywał Gabe.

- Mówi, że obiecałaś, że mu pozwolisz, jeśli znajdzie kogoś dorosłego, kto będzie tam razem z nim. - Jego błękitne oczy rzuciły jej wyzywające spojrzenie. - Ja jestem dorosły - zapewnił. - I zgadzam się mu towarzyszyć.

Freddie przełknęła ślinę i zacisnęła ręce w pięści.

- Jeśli się niepokoisz, chodź z nami - zaproponował.

- Z wami? To znaczy, mam spędzić... - urwała. Gabe skinął głową.

- Spędzić noc. Ze mną - potwierdził i puścił do niej oko. Fala gorąca zalała twarz i szyję Freddie.

- I z nami - dodała Emma, rozkosznie nieświadoma jego aluzji.

- Ona przecież wie, że tam będziemy - rzucił lekceważąco Charlie. - No i co, mam? Pójdiesz?

Znowu cała trójka wpatrzyła się w nią z wyczekiwaniem. Oczy dzieci płonęły entuzjazmem, a jego oczy...

Nie, nie powinna tego robić. Ale rzeczywiście obiecała kiedyś Charliemu, że w towarzystwie dorosłej osoby będzie mógł przenocować w zamku. A on sobie kogoś takiego znalazł. Emma też chciała iść, a trudno oczekiwać od Gabe'a McBride'a, aby radził sobie z dwójką dzieci. W końcu to jej dzieci.

To tylko jedna noc. Zamek jest wielki. Przecież nie jest powiedziane, że będą wszyscy spać w jednym pokoju.

- No dobrze - odezwała się wreszcie i odpowiedziało jej westchnienie ulgi i radości.

Gdyby tak hrabia mógł ich teraz zobaczyć, pomyślał Gabe z uśmiechem, ułożywszy ręce pod głową i rozglądając się po spowitej mrokiem sypialni w Stanton Abbey.

Leżeli teraz we czwórkę w śpiworach, wraz z latarkami, pustymi kubeczkami po kakao i nie dojedzonymi opakowaniami herbatników w czekoladzie na antycznym przestronnym łożu, w którym sypiało wiele pokoleń Stantonów.

Hrabiego chyba by szlag trafił. Trafił jednak Freddie.

- Nie możemy tu zostać! - zaprotestowała, gdy Gabe przyprowadził ich do sypialni.

- Ale powiedziałaś, że on właśnie tu się pokazuje.

- Wiem, ale...

- Więc jak moglibyśmy go zobaczyć, gdyby nas tu nie było? - spytał i ignorując jej dalsze protesty, wprowadził całą trójkę do obszernego pokoju, po czym zaczął rozkładać śpiwory na łożu.

- Naprawdę tu zostaniemy? - Oczy Charliego rozszerzyły się ze zdziwienia na widok olbrzymiego łoża osłoniętego baldachimem i ciężkimi brokatowymi zasłonami.

- Przez całą noc? - dopytywała się Emma. Wodziła niespokojnym spojrzeniem po twarzach matki i Gabe'a, nerwowo przełykając ślinę.

- Nie... - zaczęła Freddie.

- ...całą noc - dokończył Gabe. - Tylko dopóki nie zobaczymy ducha. Póki - uśmiechnął się do dzieci - nie zaśniecie...

Wpatrzyli się w niego ze zdziwieniem. Akurat! - zdawały się mówić ich oczy. Dochodziła północ, a oni byli ożywieni jak nigdy. Oczywiście trzeba mieć wiele energii, by podskakiwać przy każdym skrzypnięciu podłogi, drzeć na dźwięk pohukiwania sowy, pytać: co to? - słysząc poświst

wiatru za wielkimi oknami, i przemykać się jak duchy po komnatach. Byli więc dosyć zmęczeni.

Duch się jak dotąd nie zjawił, ale napędziła im strachu mysz, która wybiegła z kąta pokoju i skryła się w cieniu pod ścianą. Wrzaski Emmy wystraszyły myszkę pewnie jeszcze bardziej, niż ona przeraziła czekające na ducha dzieci.

Po uspokajających słowach Freddie dzieciaki zastygły w oczekiwaniu. Wypatrywały ducha. Freddie patrzyła na dzieci. Gabe wpatrywał się we Freddie.

W półmroku nie widział jej zbyt wyraźnie, ale to mu nie przeszkadzało. To był genialny pomysł, żeby znaleźć się tu razem. Przez cały dzień przebywał poza domem. Podczas posiłków Freddie krzątała się po kuchni, a dzieciaki nie dawały mu spokoju.

Jednak dziś wieczór, gdy dzieci umilkły i przestały się wiercić, Gabe mógł wreszcie do woli wpatrywać się we Freddie Crossman.

Chciałby móc robić coś więcej niż tylko się na nią gapić.

Nie pomogło, że wciąż wyrzucał sobie tę obsesję na punkcie zupełnie nieodpowiedniej kobiety. Była przecież Angielką, wdową, matką dwójki dzieci! Przestał już sobie powtarzać, że jest dla niego za stara i tak dalej - i tak czuł do niej przemożny pociąg.

To dlatego, że nie ma w pobliżu nikogo innego, powtarzał sobie co dzień. Ale to nie była prawda. Wczoraj spotkał w miasteczku dwie miejscowe ślicznotki, na ulicy przed redakcją „Gazette”. Przedstawiła mu je ich babcia, niejaka Aurora Ponsonby, podająca się za starą znajomą „jego hrabiowskiej mości”. Dopiero po chwili Gabe zorientował się, że mowa o jego dziadku.

Przez chwilę gawędził z paniami i starał się wypaść sympatycznie, choć w pewnej chwili miał ochotę zrobić miazgę z Percy'ego, który wybiegł za nim z redakcji i wygłosił

przemówienie na temat kolejnej rzeczy, której wcześniej w „Gazette” nie robiono.

Gabe prawie nie zwrócił uwagi na dziewczyny. Dopiero później uświadomił sobie, że spotkanie nie było zapewne przypadkowe, że Aurora Ponsonby dość bezceremonialnie zachwalała przymioty swoich wnuczek. Czyżby uważała go za dobrą partię?

Nie był zainteresowany ożenkiem. Był zainteresowany Freddie.

Zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno było to takie sprytne - znaleźć się z nią razem w łóżku, podczas gdy nic nie mogło między nimi zajść. Cóż, może nie całkiem nic...

Oparł się o wezgłowie i delikatnie przesunął w jej stronę.

- Zasnęły. Możemy iść - szepnęła Freddie.

- Co?

- Powiedziałeś przecież...

- Obudzimy je. Poczekajmy jeszcze trochę.

- Nie możemy zostać tu przez całą noc!

- A dlaczego?

- Bo nie... - Rzuciła mu szybkie spojrzenie i nagle zamilkła. - Musimy iść - wyszeptała bez przekonania, jakby próbowała przekonać samą siebie.

- Jeszcze chwilkę. Kto wie? Może duch się wreszcie pokaże?

- Nie wierzysz w to tak samo jak wtedy, gdy miałeś dziesięć lat - powiedziała Freddie.

- Och, teraz jestem zupełnie inny niż wtedy... - wyszeptał głosem ochrypłym z pożądania, którego bez wątpienia nie zaznał jako dziesięciolatek.

Freddie poprawiła śpiwór, który okrywał ją i Emmę. Potem westchnęła i oparła się o wezgłowie.

- Odwaliaś kawał roboty w tym domu - odezwał się po chwili. Chociaż nadal wydawało mu się, że jest to

najwilgotniejsze, najzimniejsze miejsce na ziemi, dopiero podczas wycieczki po komnatach, którą odbyli razem tego wieczoru, zorientował się, ile wysiłku kosztuje utrzymanie tego domu w przyzwoitym stanie i jak świetnie Freddie sobie z tym radzi.

- Staram się, jak mogę - powiedziała. - Nie jestem pewna, czy nadaję się do tego, ale hrabia nalegał...

- Od kiedy tu pracujesz?

- Od śmierci męża. Mark pracował dla hrabiego. Zginął w czasie sztormu, gdy płynął jachtem hrabiego z Calais. Z jakichś powodów hrabia czuje się odpowiedzialny za jego śmierć, choć wcale nie powinien - mówiła z przejęciem. - Mark był taki niepohamowany, sam podjął ryzyko... - Zamilkła nagle, uświadomiwszy sobie, że zaczęła mówić podniesionym głosem i może zbudzić dzieci.

- Czy ty... - przerwał, nie wiedząc, jak o to spytać i po co w ogóle chce to zrobić. - Wciąż za nim tęsknisz? - Co za głupie pytanie! Kochała go przecież, wyszła za niego! Oczywiście, że go kochała! - To znaczy, czy bardzo?

Przez chwilę Gabe myślał, że nie może liczyć na odpowiedź. Wiedział, że pytanie było równie natarczywe, co niezręczne.

- Przepraszam. Nie miałem prawa... - zacząj.

- Tak, tęsknię za nim - odparła Freddie. - A teraz to już trochę inne uczucie. Uczucie pustki. Już nie ból. Czasami opada mnie złość. Myślę sobie: co za strata! Nie widzi, jak jego dzieci dorastają! - Jej palce zacisnęły się na śpiworze.

Gabe, zanim zdążył pomyśleć, sięgnął i oplótł jej palce swoimi. Pomyślał, że może cofnąć dłoń, więc zacisnął swoją nieco mocniej. Jednak po chwili wahania dłoń Freddie się rozluźniła. Gabe pogładził jej wierzch kciukiem.

Siedział nieporuszony. Oddychał z trudem. Tak jej pożądał. Oblizał koniuszkiem języka spieczone usta. Wodził

palcem po jej dłoni. Miała taką miękką skórę. Wiedział przecież, że Freddie ciężko pracuje, a jednak nigdy jeszcze nie dotykał takich miękkich palców. Przyciągnął je do swych ust.

Freddie zaczerpnęła gwałtownie tchu.

Gabe wyczuł, że jej dłoń leciutko drży, tak samo jak ciało. Jednak nie odsunęła się, gdy zaczął: całować delikatnie jej palce.

- Gabe?... - szepnęła, z trudem łapiąc oddech.

- Mmm... - Nie odrywał ust od jej dłoni, zaczął wodzić po niej koniuszkiem języka.

- Gabe! - Jej głos zabrzmiał ostrzegawczo.

- Fred... - Do diabła z tym szeptaniem! O mało nie parsknął śmiechem. Uśmiechnął się do siebie, wciąż całując jej rękę, po czym przeszedł nad śpiącą Emmą i wziął jej matkę w ramiona. Poddała mu się, ale powiedziała cicho:

- Nie możemy tego zrobić!

- Pewnie, że możemy.

- Dzieci...

- Śpią.

- Nie możemy. Przecież... - Zesztywniała.

- Wiem. Będziemy się tylko całować... dotykać... obiecuję.

- Obiecujesz?

Obiecał i zamierzał dotrzymać słowa. Nie potrzebował publiczności do tego, co chciał robić z Freddie. Nie chciał, by ich pierwszy raz był byle jaki, pospieszny. Pragnął kochać się z nią powoli, smakować każdą chwilę. Nie był żóltodziobem. Wprawdzie pragnął jej rozpaczliwie, lecz mógł poczekać.

Tymczasem jednak mógł sprawić, by obojgu było potem jeszcze przyjemniej. Mógł ją całować, głaskać, dotykać, wodzić ustami po jej skórze. Robił to powoli, smakując przyjemność. Po kilku pełnych napięcia chwilach, gdy Freddie zdawała się wstrzymywać oddech, powoli rozluźniła się w

jego objęciach. Jej usta dotknęły jego policzka, potem szyi, wywołując dreszcz podniecenia, który przebiegł mu po plecach.

Gabe zagryzł usta. Przyrzekłeś, przypomniał sobie. Jesteś twardy, masz wszystko pod kontrolą! Akurat...

- Może to jednak nie jest najlepszy pomysł... - wyszeptał, odsuwając się od niej.

Zamrugła i spojrzała na niego z niepokojem.

- Nie? - w jej głosie dało się słyszeć zawód.

- Chcę... - Nie mógł wydusić z siebie, czego pragnie. Ale ona wiedziała. Odchylił głowę i zaczerpnął tchu.

- Chcę, żeby było tak, jak tego pragnę.

Spojrzał na nią, by zobaczyć, czy rozumie, co miał na myśli. Sam nie był jednak pewien, co chciał wyrazić. Wyglądała na zmieszana, po chwili jednak rozjaśniła się w uśmiechu.

- Och, Gabe... - wyszeptała. Przysunęła się do niego i dotknęła ustami jego ust, a potem poczuł jej język.

Stracił kontrolę nad sobą.

- Fred! - szarpnął się gwałtownie do tyłu.

- Co? Pokazał się? - Charlie zamrugał oczami. Freddie zerwała się i oparła o zagłówek. Gabe zagryzł mocno usta i z trudem opanowując drżenie głosu, powiedział:

- To tylko jakieś stukanie.

Krew w jego żyłach dudniła. Myślał, że rozsadzi mu skronie.

Charlie przetarł oczy i ziewnął.

- Głupi duch... - mruknął i przytulił się do matki. Po chwili już spał. Gabe i Freddie spojrzeli na siebie.

Freddie uśmiechnęła się przekornie.

- Może powinniśmy po prostu iść do domu - powiedział.

Freddie podśpiewywała sobie, składając pranie. Podrygiwała tanecznie, odkurzając salon. Nuciała, gotując obiad.

- Miło widzieć, że się więcej uśmiechasz - powiedziała pani Peek, gdy wpadła na chwilę tego ranka.

- Co takiego? - Freddie nie wiedziała, o co chodzi jej sąsiadce.

- Nic dziwnego, taki przystojniak jak Gabe McBride przywoła uśmiech na usta każdej kobiety.

- Nie wiem, o czym pani mówi - skłamała Freddie. Ale pani Peek tylko się uśmiechnęła pod nosem. Sama

była zakochana w Gabie i to nie dlatego, że był „przystojniakiem”. Uwielbiała go, bo w poniedziałek, gdy przyszła, kiedy Gabe wyruszał do redakcji, zaproponował jej pracę. Po raz pierwszy w życiu pani Peek zabrakło słów. Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Chce pan, żebym dla pana pracowała?

- Właśnie tak. Pani ma o wiele lepsze rozeznanie w sprawach istotnych dla miejscowej społeczności niż ten cały Percy - powiedział. Załadował jej rower na tył range rovera i razem udali się do redakcji.

Później powiedział Freddie, że pani Peek jest kobietą, z którą można konie kraść.

- Co to znaczy? - spytała zdziwiona Freddie.

- Tak mówimy o ludziach, na których można całkowicie polegać. Ona taka właśnie jest. Poza tym ma znakomity kontakt z ludźmi. I wie o wszystkim, co się dzieje w miasteczku. Jest najlepszą osobą do działu wiadomości, jaka mieszka w okolicy. Stantonowie mogą jej płacić za to, co i tak robi.

A najlepsze jest to, że Percy o mało nie dostał ataku, jak ją zobaczył. To był początek końca Percy'ego. Pani Peek zbierała najświeższe wiadomości, Gabe je spisywał.

- Ja napiszę wstępniak w tym tygodniu - oświadczył Percy'emu po zatrudnieniu pani Peek.

- Ale my nigdy...

- Niewątpliwie - uciął Gabe. - Ale właśnie zaczynamy. Teraz.

A gdy Percy zaczął się pieniść, Gabe powiedział:

- Wie pan, jak rozwiązujemy takie sporne kwestie w Montanie? - i pokazał mu zaciśnięte pięści.

Percy coś bąknął pod nosem, zaszurał nogami i, jak to ujął Gabe, „wybiegł z podkulonym ogonem”.

Sprawy w „Gazette” toczyły się coraz lepiej. Gabe postanowił znaleźć nowe zajęcie dla Beatrice. Kawę robił sobie sam, dla pozostałych kupił herbatę w torebkach, a Beatrice oświadczył, że od tej pory jest odpowiedzialna za dział ogłoszeń.

- Ja? - Beatrice wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

- Dlaczego nie? Znasz wszystkich w Buckworthy. - Obszedł z nią wszystkie sklepy w miasteczku, przedstawiając właścicielom siebie i Beatrice.

- Ale oni wszyscy mnie znają - zaprotestowała.

- I o to właśnie chodzi. Znają ciebie, nie mnie. Ty pomożesz nam nawiązać ze sobą kontakt. Pomożesz „Gazette” zorientować się, co może dla nich zrobić.

Tak więc z Beatrice u boku Gabe obszedł całe miasteczko, uściskał dłoń każdego właściciela sklepu i pytał, jakie jest jego zdanie na temat „Gazette”. Pytał, jakie zmiany można by wprowadzić, by gazeta była bardziej użyteczna dla lokalnej społeczności. Pierwszy raz w historii gazety ktoś zadawał takie pytania. Właściciele sklepów rozmawiali z nim, z Beatrice i oczywiście, przede wszystkim, z panią Peek.

- Potrzebujemy więcej takich pań Peek - powiedział Gabe do Freddie. - Jedną albo dwie na każde miasteczko, do którego dociera „Gazette”.

- Może spróbuj zapytać w Instytucie Kobiet. - Już sobie wyobrażała reakcję szacownych dam na widok wkraczającego do ich siedziby kowboja z Montany odzianego w dżinsy i wysokie buty. Była przekonana, że Gabe tam nie pójdzie, lecz znowu go nie doceniła.

- To był świetny pomysł - powiedział później. - W nawiązaniu kontaktu pomogło mi to, że te kobiety czytały mój artykuł wstępny. Wyglądało na to, że wiedzą, kim jestem.

Freddie mogła zapewnić go, że wiedziały to już w minutę po tym, jak pojawił się w hrabstwie. Jednak nie sądziła, że odniesie sukces - i to działając na własnych zasadach.

- On jest jak powiew świeżego powietrza - powiedziała pani Peek.

Chyba raczej tajfun, pomyślała Freddie.

Bez wątpienia wtargnął w jej życie jak wiatr i przewrócił je do góry nogami. Sprawił, że jej serce biło żywiej, krew szybciej krążyła w żyłach. Znów poczuła, że żyje. Była jednak nie tylko podekscytowana, ale i zaniepokojona. Nie powinna nucić, tańczyć i podśpiewywać. Nie było przecież wspólnej przyszłości dla niej i Gabe'a McBride'a.

Nie ukrywał tego, że jest tu tylko przejazdem. Za parę tygodni, może nawet parę dni, wróci do Montany. Dawał jasno do zrozumienia, że nie jest z nikim związany i ceni sobie kawalerskie życie.

Zastanawiała się, kim jest Claire, o której kiedyś wspomniał, ale kilka podchwytliwych pytań pozwoliło jej się zorientować, że nie jest poważnie zainteresowany ani Claire, ani żadną inną kobietą. Po prostu chciał używać życia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Percy nie chciał tak łatwo się poddać. Gabe nie przejmował się tym zbytnio - lubił walczyć. Od chwili gdy zorientował się, że ta sama determinacja, którą wkładał w jazdę na byku czy hodowlę bydła, pomoże w kierowaniu „Gazette”, od kiedy zrozumiał, że nie musi być Randallem, by odnieść sukces, życie stało się łatwiejsze.

A skoro Percy chciał codziennie odgrywać scenkę pod tytułem „po moim trupie”, cóż, trudno. Dzięki temu zyskiwał na czasie, który mógł spędzać z Freddie i jej dziećmi.

Sam był zdziwiony, jak bardzo zaangażował się w znajomość z Freddie i dziećmiakami w ciągu tych kilku zaledwie tygodni. Najpierw było łapanie owiec, a potem krowy na lasso. Wieczorne opowieści o życiu na Dzikim Zachodzie doprowadziły do tego, że zaczął szukać westernów na wideo. Charlie i Emma nigdy nie widzieli jazdy na byku. Zadzwoił więc do Randalla i poprosił o wysłanie nagrania z finałów rodeo. Postanowił, że nie będzie przy tej okazji rozmawiał o „Gazette”, ale Randall nawet o nią nie spytał. Gabe natomiast zapomniał zapytać p ranczo.

Udało mu się sformatować wideo i pokazać dzieciom film. Były zachwycone. Gabe z przyjemnością przyglądał się dzieciom, które z rozdziawionymi buziami wpatrywały się w wirującego, wierzgającego, bodącego byka i kowboja za wszelką cenę usiłującego utrzymać się w siodle przez przepisowe osiem sekund.

Potem dzieciaki wpadły na pomysł, że same też chcą się przejechać.

- Nie ma mowy! - sprzeciwiła się stanowczo Freddie. - Nie będziesz uczył moich dzieci jazdy na byku!

- Na koniu, Fred. Nie mogą przecież zostać kowbojem i kowbojką, jeśli nie nauczą się jeździć konno.

Uznawszy niechętnie milczenie Freddie za przyzwolenie, zaczął szukać jakichś koni, które mógłby wypożyczyć. Pani Peek oczywiście wiedziała, z kim powinien się skontaktować. Nazajutrz miał konie dla wszystkich. Nawet dla Freddie.

Na początku się nie zgodziła. Jednak Gabe przypomniał, że to jej dzieci. Czyżby nie chciała asystować przy ich nauce? Nie chce cieszyć się wraz nimi z ich postępów? Być przy nich, gdy wreszcie im się uda osiągnąć cel?

Więc poszła ze wszystkimi i trzeba przyznać, że całkiem nieźle trzymała się w siodle. To ON spadł z konia! Było mu naprawdę głupio. I to nie była wcale jego wina. Wszystko przez cholernego bażanta, strachliwego konia i to idiotyczne angielskie siodło, gdzie nie ma się za co chwycić!

- Nic ci się nie stało? - Freddie i dzieci pochyliły się nad nim, zmartwione.

Jego duma została zraniona. Tak samo jak siedzenie. Gabe zerwał się na nogi.

- Wszystko w porządku - mruknął, otrzepując kurz z dżinsów.

- Juhuuuu! - W oddali, na skraju drogi, dostrzegli panią Peek w czerwonym swetrze, która machała do nich, stojąc przy swoim rowerze. Wyjęła z kieszeni notesik i zaczęła coś szybko zapisywać. Gabe jęknął, a Freddie zachichotała z zadowoleniem.

- Ciekawe, jaki będzie tytuł.

- Wydawca zabija siekierą nową sprawozdawczynię.

Ale Freddie, wciąż roześmiana, pokręciła z podziwem głową.

- Bardzo poważnie traktuje swoją pracę.

Gabe wybuchnął śmiechem, przyznając, że starsza pani jest pełna poświęcenia. Nie mogła się doczekać, aż ujrzy swój artykuł w druku. Jej pierwsza kolumna z lokalnymi wiadomościami została wydrukowana w ostatni czwartek, „po

trupie Percy'ego", i od tej pory pani Peek chodziła w glorii i chwale.

Teraz, gdziekolwiek Gabe spojrzeł, widział czerwony sweter pani Peek, która wściekle pedałowując na swym rowerze, zbierała miejscowe nowości, mając nadzieję, że przebije panią Bolt i panią Nute z Instytutu Kobiet.

Mógł jedynie liczyć na to, że jego upadek nie zostanie odnotowany wobec zalewu innych frapujących wieści.

Wyglądał na szczęśliwego. Freddie obserwowała, jak bawi się z dziećmi, jak uczy je posługiwać się lassem i jeździć konno. Widziała, jak dodaje otuchy pani Peek i cieszy się z każdego triumfu, który dawał nadzieję na to, że uda się dźwignąć „Gazette” z upadku. Patrzyła, jak siedzi swobodnie rozparty w salonie, obserwując ją spod przymkniętych powiek i dając do zrozumienia, że czeka na tę „właściwą chwilę”.

I chociaż wiedziała, że nie powinna tego robić, zastanawiała się nad tym, nad czym nie było sensu się zastanawiać - jak by to było kochać Gabe'a McBride'a i być przez niego kochaną.

On wyjedzie, oczywiście, że wyjedzie. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Bez przerwy opowiadał dzieciakom o ranczu.

- U mnie w domu... - mówił. - Na ranczu...

Brzmiało to wszystko cudownie - niezmiernie, puste przestrzenie, góry zwieńczone czapami śniegu, wielkie doliny, które trudno jej było sobie wyobrazić.

Tak więc Gabe znów zadzwonił do Randalla i poprosił o przysłanie zdjęć rancza, rodziny i dokumentacji zdjęciowej z licznych rodeo.

Dzieci były oczarowane. Freddie zresztą też.

- Ojej - westchnął z podziwem Charlie. - To niesamowite...

- Czy to szalas? - pytała Emma, wskazując na jedno ze zdjęć rozłożonych na stole w salonie. Siedziała na kolanach Gabe'a. Charlie stał obok, przesuwał z zainteresowaniem zdjęcia, przerzucając je i zmieniając ich kolejność, jakby nie mógł się dość napatrzeć.

- Ale tu dużo krów... - powiedziała, patrząc na jedną z fotografii.

- I kowbojów - westchnął Charlie. - Chciałbym być kowbojem.

- Może kiedyś będziesz - powiedział Gabe, mierzwiąc mu włosy.

Freddie, widząc wyraz zachwytu na twarzy syna, z trudem powstrzymała się, by nie powiedzieć cierpko: przestań go łudzić na próżno. Charlie miał ostatnio tak radosne spojrzenie, taki pewny, sprężysty krok, że nie miała serca się odezwać.

Od śmierci Marka nigdy nie widziała, by jej syn był tak radosny i pełen zapału. I choć wiedziała, że nie może zachęcać go do tych kowbojskich zabaw, nie chciała też odbierać mu nadziei.

Jeszcze nie teraz. Poza tym Charlie nie był już taki mały, sam wiedział, że Gabe wyjedzie - nie krył tego, że jego pobyt w Buckworthy potrwa tylko jakiś czas, więc chłopiec nie może być załamany, gdy nadejdzie chwila rozstania. I pozostaną mu wspomnienia.

To samo powtarzała Freddie sobie samej, mając nadzieję, że to wystarczy.

- Dosyć na dzisiaj - powiedziała, gdy spędzili już sporo czasu nad zdjęciami. - Czas do łóżek.

- Ale jeszcze nie obejrzelśmy zdjęć z rodeo! - sprzeciwił się Charlie.

- Mamo, proszę - zaszcebiotała prosząco Emma. - Chcę zobaczyć, jak Gabe jedzie na byku!

Gabe odsunął krzesło i zdjął Emmę ze swoich kolan.

- Prawdziwi kowboje słuchają rozkazów, jazda! Dzieciaki poszły więc na górę. Wystarczyło jedno słowo Gabe'a.

- I tak by mnie posłuchały - mruknęła Freddie.

- Wiem - odparł Gabe. - Chciałem je tylko trochę pospieszyć. - Jego szczególny uśmiech sprawił, że przeszedł ją rozkoszny dreszcz.

- Dlaczego? - spytała ostrożnie.

- Dlatego - powiedział, po czym objął ją i zaczął całować.

Pocałunek był tak gorący, cudowny, że odpowiedziała nań, zanim zdążyła się zastanowić.

Tak długo była sama. Dopiero gdy zjawił się Gabe, uświadomiła sobie, jak bardzo jest samotna. Oczywiście były dzieci. Kochała je, i one ją kochały. Opieka nad nimi była ciągłym wyzwaniem, któremu usiłowała sprostać.

Przed Gabe'em nie było żadnego mężczyzny, z którym by się zbliżyła po śmierci męża. Myślała, że nie ma to dla niej znaczenia, że jest zbyt zajęta, by się tym przejmować. Myliła się. Jego dotyk, ciepło jego ciała, jego siła - wszystko mówiło jej, jak bardzo się myliła.

Kiedy osunął się na krzesło i pociągnął ją za sobą, posadził sobie na kolanach, nie przestając jej całować, poddała mu się, równie spragniona jak on.

Wyciągnął koszulę ze spodni Freddie i zaczął wodzić rękoma po rozpalonej skórze na jej plecach. Czowała, jak bardzo jej pragnie. Jęknął z rozkoszy, gdy przywarła do niego całym ciałem.

- Mamo, zostawiłam... och! - To była Emma. Stała w połowie schodów, z wytrzeszczonymi oczami i twarzą czerwoną jak burak - jak twarz jej matki.

Freddie zerwała się, omal nie przewracając krzesła, na którym siedział Gabe. Jedną ręką przyglądała włosy, drugą usiłowała wepchnąć koszulę w spodnie.

- O co chodzi, Em? - spytała łamiącym się nienaturalnie głosem.

- Zostawiłam tu gdzieś książkę do matematyki - powiedziała Emma z wahaniem w głosie, przestępując z nogi na nogę. Patrzyła to na matkę, to na Gabe'a i wyglądała, jakby miała parsknąć śmiechem.

- No to weź ją i spakuj od razu, bo rano zapomnisz. - Freddie dała sobie spokój z koszulą. Zaczęła zbierać na kupkę zdjęcia, jakby oderwano ją właśnie od sprzątania, a rumieniec na jej twarzy zaczął blednąć. Nie ośmieliła się spojrzeć na Gabe'a.

Za to Emma przypatrywała się im obojgu bardzo uważnie, gdy powoli schodziła ze schodów. Jej oczy błyszczały. Zaciskając usta, by powstrzymać się od śmiechu, wzięła książkę i, obejrzawszy się raz za siebie, popędziła na górę. Freddie usłyszała, jak mówi głośnym szeptem do brata:

- Charlie, zgadnij, co widziałam... Freddie jęknęła, a Gabe się roześmiał.

- To wcale nie jest zabawne! - zdenerwowała się Freddie.

- Pod pewnymi względami rzeczywiście, nie za bardzo - przyznał, puszczając do niej oko. - Ale to się zdarza.

- Więcej się nie zdarzy. - Nie patrząc na niego, zaczęła szybko porządkować zdjęcia i wkładać je do opakowań, w których przysłał je lord Stanton. Ręce jej drżały, gdy układała porządne kupki na końcu stołu.

Gabe stanął za nią, poczuła jego oddech na szyi. Zacisnęła dłonie w pięści.

- Tak, będziemy bardziej ostrożni - szepnął Gabe, całując ją w kark i obejmując w talii. Freddie wyrwała się z jego objęć, gwałtownie odwróciła i skrzyżowała ręce na piersi.

- Nie, nie możemy.

- Czego nie możemy?

- Nie możemy... tego robić. - Potrząsnęła głową, zła na siebie, że pozwoliła, by sprawy zaszły tak daleko. - Nie możemy - powtórzyła.

- Nie możemy się całować? - spytał z lekkim rozbawieniem.

- Nie - odparła twardo.

- Nie możemy... się dotykać?

- Nie.

- Dlaczego?

Tak jakby potrafiła podać mu jakiś powód!

- Bo... bo to nie ma sensu!

- Och, daj spokój, przestań odgrywać jakąś damę dworu: „to nie ma sensu, to nie uchodzi” - przedrzeźniał ją teatralnie.

- Dlaczego nie? Pragniesz mnie i ja ciebie pragnę!

- Nasze ciała to jeszcze nie my sami - powiedziała wolno.

- Może nasze ciała pragną bliskiego kontaktu, nasze umysły, serca, dusze... czują co innego.

- Moje nie - oświadczył Gabe, wbijając w nią spojrzenie błękitnych oczu.

Freddie odwróciła się.

- Moje tak - szepnęła.

Nie mogła go pragnąć - nie mogła go kochać! Bo tak by było, gdyby jej serce, umysł i dusza czuły to samo, co ciało.

A on też jej nie kochał.

Wszystko dlatego, że była w pobliżu. W zasięgu ręki. Nie miał nikogo innego. To, co dla niego byłoby wieczornym relaksem, dla niej stałoby się ciosem w samo serce.

Freddie zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie - powtórzyła. - Proszę. To... była pomyłka.

- Naprawdę? - Gabe stał bez ruchu, wpatrując się w nią. Nagle, jakby nie mógł się powstrzymać, objął ją.

- Freddie... - Jego głos był miękki, lecz natarczywy, błagalny.

Pokręciła głową

- Nie, Gabe, proszę.

Opuścił ręce, lecz nadal stał bez ruchu.

Wreszcie odważyła się podnieść wzrok i ich oczy się spotkały.

Gabe wstrzymywał oddech, tak samo jak Freddie, która walczyła wciąż ze sobą, by mu się oprzeć. W końcu pokręciła głową.

- Nie powinniśmy. To... taka pokusa. Ale to... zbyt niebezpieczne.

- Niebezpieczne - powtórzył i uśmiechnął się z goryczą. - To twoje ostatnie słowo?

Ostatnia szansa. Czy wykorzystasz ją, Freddie? spytała siebie w myślach.

- Tak - wydusiła.

- Jak chcesz, Fred - powiedział Gabe. Odwrócił się i wyszedł.

Rankiem zadzwonił do hrabiego.

- Wyjeżdżam - oświadczył.

Starszy pan zaczął kaszleć, jakby się dławił.

- Gabe? To ty? Na litość boską, co tam się dzieje? Zawsze, gdy dzwonię do redakcji, jakaś damulka mówi, że jesteś zbyt zajęty, by podejść do telefonu. Co mówiłeś? Skąd wyjeżdżasz?

- Stąd - odparł Gabe apatycznie. - Siedziałem tu całe sześć tygodni. Wystarczająco długo.

Hrabia cmoknął z dezaprobatą.

- No cóż, chyba nie powinienem być rozczarowany. Nawet jeśli robota jeszcze nie wykonana, i tak wytrzymałeś dłużej, niż przypuszczałem.

- Robota jest wykonana! - rzucił Gabe. Opowiedział dziadkowi, jak zapobiegł brakowi lokalnych

wiadomości. Powiedział o nowych korespondentkach - pani Peek i kohorcie z Instytutu Kobiet. Poinformował, że zaczęli się zgłaszać nowi reklamodawcy. Beatrice, mając kredyt zaufania, wiele potrafiła w tej mierze zdziałać.

- Mamy sporo reklam - zapewnił. - Dochody wzrosły już sześciokrotnie.

- Sześciokrotnie? - Hrabia aż się zachłysnął.

- Na razie. Chociaż to jeszcze nic pewnego. Gdy uznają, że ich dochody nie zwiększyły się dzięki reklamie, mogą się wycofać. Ale z większością podpisałem umowy na sześć miesięcy. To powinno pomóc mojemu następcy rozwijać sprawę dalej.

- Chyba mianujemy tego Percy'go?

- Każdy, byle nie on. Jeśli chcesz, by gazeta prosperowała,

- Naprawdę? - Hrabia był zaintrygowany. - A więc kto?

- Beatrice. Ta, która nie dopuściła cię do mnie.

- Sekretarka? - prychnął hrabia.

- Kieruje całą redakcją i świetnie jej idzie. Szybko się uczy. Wie, po której stronie chleb jest posmarowany. Czuje, na czym można zarobić. I robi cholernie dobrą kawę.

- Hm. Kawę? Beatrice? Pomyślę o tym. Chcę mieć te rekomendacje na piśmie. I wyliczenia finansowe z całego twojego pobytu. Zyski uzyskane od czasu twego przyjazdu i tak dalej.

- Prześlę ci faksem.

- Przywieź. Zamierzasz chyba się ze mną pożegnać przed odlotem?

Czyżby? Chyba tak. Wolałby wprowadzić wybyć z tego kraju, nie poddawszy się badaniu hrabiego. Lecz kto wie, kiedy znów zobaczy starego zrzędę? Poza tym chciał mieć satysfakcję z pokazania dziadkowi, że poradził sobie o wiele lepiej, niż ten się po nim spodziewał.

Lecz najbardziej chciał już wyjechać. Byle nie siedzieć już przy stole z kobietą, która pragnęła go swym ciałem, lecz nie pragnęła sercem i duszą. Nie chciał jej widzieć, słuchać jej, rozmawiać z nią. To wszystko nie miało już sensu, do cholery!

- Kiedy wracasz? - spytał hrabia.

- Niedługo, na pewno przed końcem tygodnia - zapewnił Gabe.

Freddie nie powinna być zdziwiona, kiedy Gabe oświadczył, że wyjeżdża. Przyjechał, uratował „Gazette” i właśnie miał odjechać w stronę zachodzącego słońca. Przecież tak właśnie robią kowboje.

A jednak, gdy oświadczył, że w piątek wyjeżdża, poczuła się, jakby dostała cios w brzuch.

Emma i Charlie wyglądali jak rażeni gromem.

- Tylko do Londynu? - zapytał Charlie z nadzieją w głosie. - Odwiedzić dziadka?

- Zatrzymam się tam - przyznał Gabe. - A potem wracam do domu. Do Montany - mówił pewnym głosem, zdecydowanie, lecz nie patrzył na żadne z nich.

Freddie zobaczyła, jak Charlie z trudem przełyka ślinę, a Emma zagryza wargi. Sama z trudem się powstrzymała, by nie zrobić tego samego. Jednocześnie wmawiała sobie, że tak będzie najlepiej. Lepiej, niż gdyby kręcił się tutaj. Uśmiechał się, drażnił ją. Kusił.

Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdołałaby mu się opierać. Wspomnienia miłosnej nocy z Gabe'em mogłyby być wspaniałe, lecz on nic nie obiecywał - nie było wspólnej przyszłości.

Nie zależało jej na tym. Freddie nie mogła ryzykować. Nie po raz drugi. Nie mogła więc nawet pozwolić sobie na kochanie go i pielęgnowanie wspomnień. One by jej nie wystarczyły.

- Ale ja nie chcę, żeby on wyjechał... - poskarżyła się żałośnie Emma, gdy tego wieczoru Freddie okrywała ją na noc. Patrzyła błagalnie na matkę, wysunąwszy smętnie dolną wargę.

- Wiedziałaś przecież, że wyjedzie. Przyjechał tu tylko po to, by zrobić porządek z gazetą - powiedziała stanowczo Freddie.

- Wcale nie musi wyjeżdżać - powiedział Charlie, stając w drzwiach w piżamie, z rękami złożonymi na piersi. - Mógłby zostać. Poproś go o to.

- Nie mogę tego zrobić, Charlie!

- Ale powinnaś - upierał się. - Byłby dobrym tatą. Freddie nie mogła temu zaprzeczyć. Zacisnęła usta, nic nie mówiąc.

- On nas lubi - nie dawała za wygraną Emma. - Lubi dzieci. Sam nam to powiedział.

- Na pewno lubi. I pewnego dnia pewnie będzie miał własne - powiedziała Freddie, zdziwiona, że ta myśl ją zabolowała.

- Ale nie będzie miał nas. - Charlie spojrzał oskarżycielsko na matkę i powlókł się do swojego pokoju.

Freddie patrzyła za nim z żalem, czując rozpacz i bezradność.

Przez resztę tygodnia Gabe i dzieciaki codziennie łapali krowę na łące, aż dostawała zęza. Śpiewali „The Streets of Laredo” i „The Yellow Rose of Texas”, „The Double Diamond” i wszystkie inne kowbojskie piosenki, które znał Gabe. Oglądali filmy - same westerny. Charlie i Emma prosili o to, ciągle im było mało. A Gabe spełniał ich wszystkie zachcianki.

Był wściekły na Freddie, że go odrzuciła, zraniła. Nie lubił być czyjaś zabawką, nie lubił być zwodzony, kuszony - a potem odstawiony.

Była tchórzem. Bała się swoich uczuć do niego. On się nie bał. Właściwie w ogóle się nad nimi nie zastanawiał, nie był biegły w analizowaniu uczuć. Ale na pewno nie zlekceważyłby ich jak Frederica Crossman!

A, pal ją lichy. Ale nie jej dzieci. Miał spędzić z nimi jeszcze parę dni i chciał, by wryło im się w pamięć, że warto żyć i podejmować ryzyko.

- Świetnie sobie radzicie, dzieciaki - powiedział. - Nigdy nie spotkałem lepszej kowbojki - zapewnił Emmę. - Nawet Claire nie może się z tobą równać - powiedział, pewien, że Claire nie miałaby nic przeciwko temu małemu kłamstwu, gdyby zobaczyła, jak Emma promienieje z dumy.

- Byle tak dalej, a pewnego dnia będziesz mógł hodować bydło jak prawdziwy kowboj - zapewnił Charliego.

- Jak ty - uśmiechnął się chłopiec.

Charlie w niego wierzył. Emma wierzyła. Beatrice też. Nawet, acz niechętnie, przekonał się do niego Percy Pomfret - Mumphrey, „po jego trupie”. Nawet hrabia zdawał się mu ufać. Wszyscy oprócz Freddie.

- Tak - powiedział stanowczo. - Będziesz kowbojem jak ja.

- I będę jeździł na bykach - dodał Charlie.

- Na pewno - zgodził się Gabe, zadowolony, że dzieciak nie jest takim tchórzem jak jego matka.

- Czy wszyscy kowboje jeżdżą na bykach? - spytał Charlie.

- Tylko ci najlepsi - powiedział Gabe, puszczając do chłopca oko. - Nie, tylko kowboje z rodeo. I to nie wszyscy. Ja też nie zacząłem od ujeżdżania byków. Najpierw próbowałem na owcach.

- Na owcach? - Dzieci wybałuszyły oczy ze zdziwienia.

- Kiedy byłem chłopcem.

Charlie spojrział na pastwisko, ponad wymęczoną krową. Oblizwał usta.

- Chciałbym spróbować. Myślisz, że pan Bolt byłby zły?

Gabe myślał, że nie. Uciał sobie kiedyś pogawędkę z Josiahem Boltem, gdy robił rundkę po miejscowych sklepach z Beatrice. Josiah uśmieł się, słysząc o tym, że Gabe łąpał jego owce na laso.

- Chodźcie - powiedział Gabe do dzieci, pragnąc zrobić im ostatnią przyjemność.

Znaleźli owcę pasącą się w pobliżu drogi. Gabe przytrzymał ją przy ogrodzeniu, a Charlie wdrapał się na jej grzbiet. Miał rumieńce z emocji i wytrzeszczone oczy.

- W porządku? - spytał Gabe. Potem, jedną ręką wciąż przytrzymując owcę, drugą zdjął z głowy kapelusz i włożył chłopcu na głowę.

Charlie popatrzył na niego zaskoczony.

- Na szczęście - uśmiechnął się Gabe i wcisnął kapelusz na małą główkę chłopca, tak że rondo prawie zakryło mu oczy.

Chłopiec uśmiechnął się, a potem, z zaciśniętymi ustami, wczepiony pobiełatymi dłońmi w wełnę, skinał głową.

- Jazda! - zawołał Gabe i klepnął lekko owcę, która ruszyła pędem przez pastwisko, z Charliem uczepionym jej grzbietu.

Całe szczęście, że Freddie pojechała do miasta. Chybaby dostała ataku, widząc swego pierwородnego galopującego na owcy i wrzeszczącego "juhuuu" na całe gardło.

- Dalej, kowboju! - krzyknął Gabe.

I Charlie pędził dalej. Świetnie sobie radził, jednak nagle owca skrzyła gwałtownie w prawo i chłopak spadł z głośnym wrzaskiem.

- Charlie!

Gabe odwrócił się i ujrzał Freddie wysiadającą z samochodu. Przeskoczyła przez ogrodzenie i biegła ku nim, z rozwianymi włosami, z twarzą pobladłą z przerażenia.

- Charlie!

Gabe ruszył w jej stronę, ale zaraz zawrócił i podbiegł do Charliego.

- Nic mu się nie stało! - zawołał przez ramię. Charlie, ciężko dysząc, próbował wstać. Na wardze miał

trochę krwi. I sinawą twarz, bo zabrakło mu tchu. Gabe ukląkł przy nim i poklepał po żebrach.

- Boli cię gdzieś? - spytał chłopca.

- N - nie. N - nieźle, c - co?

Lecz zanim Gabe zdążył odpowiedzieć, nadbiegła Freddie, dosłownie zmiatając Gabe'a z drogi.

- Charlie! Nic ci nie jest?

Chłopiec przełknął ślinę, usiłował coś powiedzieć, lecz tylko skinął głową. Szybko otarł rękawem kropelkę krwi z ust.

Freddie przygarnęła go do siebie, lecz Charlie wyrwał się, wołając:

- Nic mi nie jest, mammo!

- To prawda - odezwał się Gabe. Freddie odwróciła się ku niemu ze złością.

- Tak jakby cię to w ogóle obchodziło! Co chciałeś zrobić? Zabić go?

- Zabić? Jechał na owcy, wielkie rzeczy.

Freddie trzęsły się ręce ze zdenerwowania. Spiorunowała Gabe'a wzrokiem. Jej zazwyczaj zarumieniona twarz była teraz blada jak ściana. Wzięła głęboki oddech i odwróciła się do Charliego.

- Dostyc tego. Żadnych owiec - zakomenderowała.

- Ale...

- Żadne ale. Idziemy.

- Nic mu się nie stało - wtrącił się Gabe. - Dzieciaki często jeżdżą na owcach. A on tak bardzo chciał...

- Nieważne, że chciał! Jestem jego matką! Ja decyduję, co może robić. Nie on i nie ty! - Poprowadziła Charliego do samochodu.

Gabe zachował spokój.

- Musisz mu czasem pozwalać próbować robić różne rzeczy, Fred. Nie możesz trzymać chłopca pod kloszem przez całe życie!

- Mogę robić, co zechcę! Jestem jego matką! A ty... jesteś kowbojem! Dziś tu, jutro tam. Jesteś wszędzie tylko przejazdem. - Jej oczy rzuciły błyski, włosy miała rozwiane. Była piękna i pociągająca.

I miała rację. Był tu tylko przejazdem. Nie miał nic do gadania. Charlie nie był jego synem. Nie miał żadnych praw. Tylko ona mogłaby mu je dać. Marne szanse.

- Dobrze - powiedział po długim milczeniu. Wzruszył ramionami, siląc się na nonszalancję. Podniósł kapelusz z ziemi.

- Rób, jak chcesz, Freddie. Ucz dzieci, że źle jest ryzykować, że zawsze trzeba postępować ostrożnie.

Włożył kapelusz na głowę i podniósł rondo.

- Ja robiłbym inaczej. Gdyby to były moje dzieci, nauczyłbym je być kowbojami - w najlepszym sensie tego słowa.

Najwyraźniej w umowie sprzedaży „Gazette” nie było słowa o tym, że Percy nie może złożyć wymówienia, gdyż zrobił to natychmiast, kiedy ostatniego dnia pracy Gabe mianował Beatrice na sekretarza redakcji.

- Ja? - spytała zaskoczona.

- Ona? - zachłysnął się z oburzenia Percy.

- Tak, właśnie ona - potwierdził Gabe. - Dzięki temu mogę być pewien, że zostawiam „Gazette” w dobrych rękach.

A bardzo mu na tym zależało. „Gazette” była jedyną rzeczą, która mu się tu udała, z której był zadowolony. Jedyna rzecz, która się Uczy, powtarzał sobie. W końcu w tej sprawie tu przyjechał.

Świetnie, że wyjeżdżał. Wiedział, że Freddie czuje to samo. Przez ostatnie dni unikali się wzajemnie. Przygotowywała mu kolację, ale nie zmywała. Siedziała w pokoju, czytając, gdy opowiadał dzieciom różne historie, ale nigdy się do nich nie przyłączyła. Nie siadywała z nim wieczorem w salonie, gdy dzieci szły spać. Ani razu nie znaleźli się sam na sam.

Bo była tchórzem. No i dobrze. Nie będzie się tym przejmował.

Prawie ze sobą nie rozmawiali przez ostatni tydzień. Myślał, że tak może będzie do końca, że po prostu wsiedzie do samochodu i odjedzie, a ona nie powie ani słowa.

Jednak gdy wrócił ostatniego popołudnia z pracy, podała mu kupkę świeżo wyprasowanego prania i powiedziała tonem wzorowej właścicielki pensjonatu:

- To chyba wszystko. Wszystko...

Wszystko, co zaszło między nimi w ciągu tych paru tygodni - cała ta radość, śmiech, uśmiechy, spojrzenia, pocałunki - zostało sprowadzone do kupki wyprasowanej bielizny.

Spojrzał na nią. Szła z powrotem do kuchni.

- Dzięki - mruknął.

Zaniósł czyste rzeczy do swego pokoju i zaczął się pakować. Ruszał się wolno, z namaszczeniem. Odkładał pakowanie na ostatnią chwilę, żeby jeszcze spędzić trochę czasu z dziećmi. Spodziewał się, że będą na niego czekać, gdy wróci do domu po południu. Ale była tylko Freddie.

- Gdzie dzieci? - spytał. Wzruszyła ramionami.

- Poszły się gdzieś bawić - rzuciła niedbale.

Gabe wiedział, że jest zadowolona z tego, że ich nie ma, że nie wiszą na nim, nie błagają o ostatnią historyjkę. To dowodziło, jak niewiele dla nich znaczył. Widział satysfakcję w jej oczach.

Skinął głową, pewien, że jeszcze je zobaczy przed wyjazdem. Ale pakowanie zabrało mu tylko dziesięć minut. Wygładził łóżko, włożył brudną pościel do worka na pranie, złożył kołdrę, przepakował jeszcze raz torbę. Zapowiedział dziadkowi, że zjawi się tego wieczoru, więc nie mógł już dłużej zwlekać. Niechętnie zapiął bluzę, wziął torbę i ruszył w stronę drzwi.

Freddie była w kuchni, obierała ziemniaki przy zlewie. Po sztywności jej ramion poznał, że nadśluchiwała, kiedy nadejdzie, czekała na niego.

- Wyjeżdżam - powiedział szorstko. - Pożegnaj dzieci ode mnie.

- Dobrze. - Odwróciła się, zamrugła oczami, przełknęła ślinę i próbowała się uśmiechnąć.

Gabe poczuł pewną satysfakcję. Uśmiechnął się uprzejmie, oficjalnie. Ruszył w kierunku drzwi.

- Uważaj na uciekające króliki - rzucił przez ramię.

- Co? Ach... - zaśmiała się lekko. Przynajmniej poszła za nim i stanęła na ganku.

Znów popatrzyli na siebie. Już nie oddzieleni stertą prania. „Wszystko” nie zredukowało się już do tego. Myśli co - by - było - gdyby zawisły w powietrzu.

Nagle Gabe usłyszał nagły tupot na ścieżce.

- Mamo! Mamo! Gabe! - To była Emma, zdyszana, zaczerwieniona. - Chodźcie szybko! Charlie poszedł na pole Dawesa, bo chce ujeżdżać byka!

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Szybko! - Gabe chwycił Freddie za rękę i wepchnął do samochodu. - Pokaż mi, gdzie to jest - rozkazał Emmie. - I powiedz, o co tu, do diabła, chodzi?

- Charlie pomyślał, że... że to dobry pomysł - wykrztusiła Emma. - Żeby udowodnić, że on to potrafi. Żebyś nas zabrał ze sobą!

- Jezu! - Gabe był przerażony. - Mama powiedziała wam przecież...

- Ale gdyby udowodnił, że potrafi, nie musiałyby się już więcej o niego martwić... - Emma przerwała i spojrzała nerwowo na matkę. - Tak powiedział! - zakończyła trochę zaczepnie.

Freddie chciała powiedzieć, że to nie tak. Matki zawsze się martwią o dzieci - taka ich rola. Modliła się w duchu, żeby nic się Charliemu nie stało. Byli już prawie na miejscu. Freddie zauważyła stary rower pani Peek oparty o żywopłot.

- A co pani Peek tu robi? - spytał Gabe.

- Zjawiła się, kiedy siedziałam na murku, czekając na Charliego. Wiesz, że ona zawsze się zatrzymuje, żeby porozmawiać. Spytała, co robię, więc pomyślałam sobie, że jej powiem, to może opisz, jaki Charlie jest dzielny, a my wyślemy ją do ciebie, a ty wrócisz i... powiedziała, żebym szybko po ciebie pobiegła. I że spróbuje znaleźć Charliego, zanim zrobi to byk.

Gabe wyskoczył z samochodu.

- Zaczekajcie tutaj!

- Ja też idę! - zawołała Freddie, ruszając za nim, i wpadła wprost na niego, gdy gwałtownie się zatrzymał.

- Nie, nigdzie nie idziesz! - powiedział zdecydowanie. - Jeszcze jedna osoba wałęsająca się po tym pastwisku to ostatnia rzecz, której nam potrzeba. Nie mogę zająć się wami wszystkimi. Zostań tutaj z Emmą. Chyba tylko ona ma po

kolei w głowie. - Uśmiechnął się do dziewczynki, po czym znów zwrócił do Freddie: - Zostajesz, jasne?

- Ja...

- Musisz. Powiedz to: muszę zostać.

- Muszę zostać - powtórzyła z rozpaczą. Wiedziała, że Gabe ma rację, choć instynkt macierzyński gnał ją na ratunek dziecku. To w końcu był jej, a nie jego obowiązek. - Dobrze, już nie trać czasu na besztanie mnie. Znajdź Charliego i zabierz go stamtąd!

Gabe był przerażony tylko kilka razy w życiu - gdy pierwszy raz dosiadł byka, tej nocy, gdy jego ojciec miał atak serca, a matka powiedziała: „Chyba trzeba będzie sprzedać ranczo, jeśli się nim nie zajmiesz”. I zawsze mroził go strach, gdy słyszał swoje imię w kontekście słowa „małżeństwo”.

Jednak nigdy nie bał się tak bardzo jak teraz. Chłopiec, mały chłopiec szukał teraz na pastwisku byka, którego chciał dosiąść. A wszystko przez niego, Gabe'a. Ten chłopiec mógł zostać stratowany, zabity, przez niego!

Bo Charlie go ubóstwiał. Bo chciał być taki jak on. Bo Gabe się wymądrzał i powiedział, że nie rozpuszczałby własnych dzieci.

Gabe odnosił się do Pana Boga dość bezceremonialnie, ale był z nim w stałym kontakcie. Każdy, kto bierze udział w rodeo, musi się do niego co jakiś czas zwracać.

Teraz Gabe, przemierzając szybko pole, zmawiał jedną modlitwę za drugą. Wypatrywał wciąż granatowej kurtki Charliego, czerwonego swetra pani Peek albo - najlepiej - samego byka.

- Nie miałem tego na myśli - pertraktował z Bogiem. - To znaczy, może i miałem, ale ja tylko próbowałem pomóc. Nie chciałem, by wychowywała ich na mięczaków. Nie chciałem, by chłopak zrobił coś głupiego. Więc zaopiekuj się nim,

dobrze? I do diabła... to znaczy, dobrze by było, gdybyś wziął też w opiekę panią Peek!

Gdy wspiął się na zbocze, obejrzał się w kierunku Freddie i Emmy, które siedziały na murku, ze skrzyżowanymi rękami na piersiach, wbijając w niego wzrok. Chciałby móc teraz krzyknąć do nich, że znalazł Charliego i panią Peek, ale roztaczało się przed nim wielkie, puste pastwisko, na którym tu i ówdzie widniało jakieś drzewo czy głąz.

Ani śladu Charliego, pani Peek ani byka.

Gabe ruszył szybciej, co chwila wykrzykując imię Charliego i przystając, gdy czekał na odzew.

I wtedy zobaczył byka. Brązowy, uwalany błotem olbrzym biegał rozdrażniony pomiędzy dwiema brzożami, wymachując ogonem, parskając i ryjąc ziemię kopytami. Gabe stanął jak wryty. Nagle usłyszał głos Charliego:

- Gabe! Jesteśmy tutaj!

Gabe rozejrzał się i zauważył nogę zwisającą z gałęzi brzoży.

- Tutaj, na drzewach.

Nagle druga brzożka też się zatrzęśła. Pojawiły się brązowe boty i grube pończochy.

Czyżby pani Peek wdrapała się na drzewo?

Byk zauważył jej nogi i parsknął. Zarył kopytem i ruszył na drzewo.

- Uwaga! - krzyknął Gabe.

Nogi zniknęły w koronie drzewa w chwili, gdy byk zarył w pień. Ziemia pod stopami Gabe'a zadrżała. Zaklął cicho pod nosem, rozglądając się wokół za czymś, co mogłoby odciągnąć uwagę byka.

Byk zaś odwrócił się od drzewa i wreszcie go zauważył. Gabe wiedział, że musi sprawić, by zaczął go gonić, i dać w ten sposób Charliemu i pani Peek możliwość ucieczki.

Powoli, nie spuszczać byka z oczu, Gabe zdjął kurtkę. Nie zastanawiał się też, co by było, gdyby byk zamiast kurtki porwał na rogi jego. Zaczął potrząsać kurtką, oddalając się jednocześnie od drzew. Byk stał zaciekawiony, ale się nie ruszał. Obejrzał się na buty pani Peek.

- Weź mój sweter! - zawołała starsza pani. - Próbowałam go tym zwabić. Leży tam, koło ciebie. - Spomiędzy gałęzi wysunęła się ręka.

Gabe spojrział we wskazanym kierunku i dostrzegł spleśniały sweter pani Peek.

- Odwróć jego uwagę - powiedziała.

- Dobrze. - Nie zamierzał się sprzeczać. Była względnie bezpieczna na drzewie, a byk znowu skierował na nią wzrok.

Pani Peek znowu spuściła nogi z gałęzi i zaczęła nimi wymachiwać.

- Juhuuu! Toro, toro! Tutaj jestem!

Byk sapnął i obrócił się w stronę drzewa. Gabe ostrożnie podbiegł po sweter. Potem zaczął nim wymachiwać i wołać byka.

Zwierzę zatrzymało się i popatrzyło na niego. Gabe znowu zamachał swetrem. Zaczął iść powoli, równoległe do byka, oddalając się od drzewa. Machając swetrem, usiłował sprowokować zwierzę do ataku. Byk ruszył i przemknął jak wicher obok niego. Dysząc ciężko, Gabe uskoczył w bok, oddalwszy się jeszcze bardziej od drzew. Gdyby jeszcze trochę odciągnął byka, Charlie i pani Peek mogliby bezpiecznie uciec.

- No chodź, ty gruby, wielki draniu! Zobaczymy, jak szybko potrafisz biegać! - zawołał.

Byk natarł ponownie. Gabe uskoczył, lecz tym razem się potknął i upadł na kolano. Skrzywił się, widząc, że byk zawraca, by ponowić atak.

Zdesperowany Gabe zerwał się na obie nogi.

- No dalej! Chodź tu! - Padając, skręcił kolano, to samo, które doznało już wielu kontuzji w trakcie rodeo. Zagryzł zęby z bólu. - No, dawaj!

Byk nadbiegł ponownie. Zniżył łeb i natarł - porywając sweter.

Ale byli już z dala od drzew i Gabe dostrzegł, jak najpierw zeskakuje z brzozy Charlie, a potem pani Peek gramoli się na ziemię. Patrzyli w jego stronę.

- Uciekajcie! Szybko! - zawołał.

W chwilę później, nim zdążył uskoczyć przed kolejnym natarciem, zobaczył, jak pani Peek chwyta Charliego za rękę i pędzi z nim za pagórek.

- Pani Peek była niesamowita - paplał z podziwem podekscytowany Charlie. - Jak torreadorzy w telewizji!

Freddie objęła ich oboje i uścisnęła mocno, prawie płacząc z ulgi.

- Dziękuję, och, dziękuję. Gdyby nie pani... nie wiem, co bym zrobiła, gdyby...

Ale pani Peek uciszyła ją, zanim zdążyła wypowiedzieć te okropne słowa.

- Odciągnęłam go po prostu kawałeczek – powiedziała skromnie. - Ale ciągle jeszcze tkwilibyśmy na tych drzewach, gdyby nie twój pan McBride.

Pan McBride. Gabe.

Freddie rozejrzała się niespokojnie.

- Ale gdzie...

- On walczy z bykiem, mamo!

O Boże! Przypomniała sobie, jak Gabe oglądał z dziećmi filmy o rodeo. Emma była zafascynowana klaunami drażniącymi byki.

- Robieś tak kiedyś? - spytała wtedy.

- Za nic w świecie, kochanie. Są głupoty, których nawet ja nie robię.

A teraz robił. Freddie przymknęła powieki.

Och, Gabe, co to będzie.

Miała ochotę przesadzić płot i biec łąką, wołając jego imię, błagając, by wracał. Wiedziała jednak, że się nie odważy. I że to byłoby bez sensu, wprowadziłoby jeszcze większe zamieszanie.

- Gabe! - wrzasnął nagle Charlie.

Freddie zobaczyła, jak biegnie ile sił w nogach w stronę Gabe'a - brudnego, sponiewieranego, lecz, dzięki Bogu, całego.

Ruszyła ku niemu, lecz stanęła, patrząc, jak Charlie rzuca się Gabe'owi w ramiona. Zobaczyła, jak te ramiona zamykają się wokół chłopca, jak Gabe przytula go mocno, zanurza twarz w jego włosach.

- Nigdy więcej... nie rób takich rzeczy - powiedział zachrypniętym głosem. I postawił chłopca na ziemię.

- Ja tylko chciałem na nim pojeździć - jęknął chłopiec. - Tak jak ty.

- To co innego - powiedział Gabe surowo. - Zupełnie co innego.

- Ale...

Gabe objął ramieniem wąskie plecy Charliego.

- Słuchaj, nie musisz nic nikomu udowadniać. - Wciąż obejmując chłopca, spojrzął na Freddie. - Przepraszam - powiedział cicho.

To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała.

- Przepraszasz? Skinął głową.

- Zrobił to, bo powiedziałem, że nie powinnaś ich trzymać pod kloszem. Przepraszam. Nie miałem prawa.

- W porządku - powiedziała Freddie słabym głosem. - Nic mu się nie stało. I tobie też się nic nie stało.

Miała ochotę podejść do niego, objąć go tak samo, jak on objął Charliego, przytulić i poczuć, że jest zdrow i cały. Żywy.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - podsumowała pani Peek. - A co za historia do opisanego! - Zatarła ręce z zadowoleniem.

Ale Gabe potrząsnął głową.

- Ja to opiszę.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Zrobimy pani zdjęcie.

- Mnie? - Pani Peek zamrugła oczami jak sowa. Gabe uśmiechnął się i objął ją ramieniem.

- Gdyby nie pani, przygoda Charliego z bykiem naprawdę mogłaby się źle skończyć. W czwartkowym numerze będziemy mieć świetny artykuł i zdjęcie. Tym razem pani będzie tematem dnia!

Powinien od razu wyjechać, ale chciał wziąć prysznic. Musiał włożyć jedną z tych czystych koszul, które przygotowała dla niego. Nie mógł się przecież pokazać hrabiemu w takim stanie, jakby właśnie zszedł z areny rodeo. Nie chciał się przed nim tłumaczyć.

Jednak gdy wyszedł z łazienki, kolacja już stała na stole.

- Zjedz z nami. Proszę - powiedziała Freddie.

- Prosimy, Gabe - przyłączyły się dzieci.

Prawdę mówiąc, nie miał ochoty odmawiać. Chęć do wyjazdu przeszła mu jeszcze na feralnym pastwisku. Cała adrenalina, którą się napędzał, wyparowała.

Kolacja była zwyczajna. Kotlety wieprzowe. Sałata. Chleb z masłem. Najlepszy posiłek, jaki jadł w życiu. Ale jedzenie stawało mu w gardle. Bo za kilka minut, w niespełna godzinę miał zostawić to wszystko za sobą - opuścić ten dom, te dzieci. I tę kobietę.

Śledził wzrokiem jej każdy ruch. Gdy tylko się odwracała, nie odrywał od niej oczu. Uśmiechała się do dzieci. Parę razy uśmiechnęła się nawet do niego. Zapisywał sobie każdy

szczegół w pamięci, na przyszłość, kiedy będzie się musiał zadowolić wspomnieniami.

- Opowiedz nam jakąś historię, Gabe - poprosiła Emma po skończonej kolacji, gdy naczynia były już pozmywane.

- Ja... - zamierzał powiedzieć, że nie może, że musi jechać, ale te słowa nie chciały mu przejść przez gardło.

Będzie łatwiej, gdy dzieci już pójdą spać, a nie wtedy, gdy będą stać i gapić się, jak odjeżdża, przekonywał sam siebie.

- Znam jedną krótką - powiedział więc.

- O bykach? - spytała Emma. Gabe zauważył, że Charlie aż zadrżał.

- Nie - powiedział. - Ta jest o lordzie.

Kątem oka dostrzegł, że Freddie drgnęła. Jednak celowo na nią nie spojrział.

Usiadł z dziećmi i zaczął opowiadać. Opowiedział im o dwóch kuzynach - „braciach krwi”, bo pewnego razu nakłuli swoje palce i pomieszal krew, choć i tak łączyły ich więzy krwi. Przyrzekli zawsze sobie pomagać. Ale potem dorośli i ich drogi się rozeszły. Jeden został kowbojem, a drugi był wychowywany na prawdziwego lorda.

- Opowiedz nam o kowboju - powiedziała Emma. Ale Gabe pokręcił głową.

- O kowboju wiecie już wszystko.

Zamiast tego opowiedział im o Randallu. Mówił o obowiązkach, odpowiedzialności i poświęceniu. Mówił o stawianiu potrzeb innych ludzi ponad własnymi i robieniu rzeczy, które są potrzebne.

- Czasami to wcale nie jest zabawne. I wcale nie wygląda na jakieś tam bohaterstwo, ale jest bohaterskie. Tak jak pani Peek... być może uratowała ci dzisiaj życie.

- Ty mnie uratowałeś. Walczyłeś z bykiem - upierał się Charlie.

- Nie wiedziałbym nawet, gdzie jesteś, gdyby pani Peek nie wysłała po mnie Emmy.

- Ale...

- Ja nie jestem bohaterem. - Gabe pokręcił przecząco głową.

Spojrzał na Freddie, mając nadzieję, że go słyszy. Siedziała w odległym końcu pokoju, zajęta szyciem. Nie usiadła z nimi, by posłuchać opowieści. Nie miał jej tego za złe.

Ale słyszała, o czym rozmawiał z dziećmi, i zrozumie, jak on bardzo żałuje tego, co się stało.

- Pamiętajcie tę historię, nawet jak zapomnicie wszystkie inne - powiedział na zakończenie i wstał. - No, czas do łóżek.

Charlie uściskał go serdecznie. Emma powiedziała:

- Nie odjeżdżaj, Gabe.

Pocałował ją na dobranoc i szepnął do ucha:

- Muszę.

Dzieci poszły na górę z Freddie, a Gabe stał jeszcze przez chwilę na dole i rozglądał się, by wszystko dobrze zapamiętać. Podniósł torbę.

- Gabe?

Odwrócił się. Freddie stała na schodach. Była blada, wyglądała dziwnie krucho, jakby ktoś ją zranił. To jego wina.

- Proszę. Zaczekaj.

Nie chciał czekać. Nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła wytrzymać.

Jednak Freddie zeszła po schodach. Zaciskała nerwowo dłonie.

- Mówiłeś, że ci przykro, przepraszałeś. Ale to ja powinnam to powiedzieć. Po prostu... myślę o Marku. Robił takie głupstwa. Ryzykował niepotrzebnie. Zginął przez to! Charlie... - Wybuchnęła płaczem, który zbierał się w niej od

chwili, gdy Emma nadbiegła ze straszną wiadomością. Zakryła dłońmi twarz.

Nie miał wyboru, odłożył torbę i podszedł do niej.

- Charliemu nic się nie stało - powiedział uspokajająco. - I więcej już tak nie zrobi. Nie będzie ryzykował jak Mark. Nauczy się. Wszyscy chłopcy robią głupie rzeczy. - Położył ręce na jej ramionach, ale to było za mało, więc objął ją i przytulił. - Był na drzewie, Freddie. Przestraszony, ale bezpieczny. Dostał dobrą nauczkę.

- Ale ty... tobie się mogło coś stać.

- Ja też powinienem wejść na to drzewo - zapewnił Gabe.
- Ale nie chciałem, żebyś musiała wzywać straż pożarną. Jak by to wyglądało? Stałbym się wówczas brytyjską wersją kowboja.

Prawie się uśmiechnęła. Spojrzała mu w oczy.

- Jesteś wspaniałym kowbojem. Najlepszym. Dziękuję.

- Nie wiem, za co - zachnął się lekko.

- Uratowałeś Charliego. I... - zawahała się przez chwilę. - Ja też dostałam nauczkę.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc, co ma na myśli. Freddie wspięła się na palce.

- Że czasem warto zaryzykować - szepnęła mu do ucha, a potem pocałowała w usta.

Chciał tylko ją pocieszyć. Po raz pierwszy w życiu trzymał w ramionach piękną kobietę i nie miał nadziei na nic więcej. Jednak po chwili zaczęły się pieszczoty, pocałunki i kiedy Freddie wzięła go za rękę i poprowadziła po schodach do swego pokoju, nie zaprotestował.

Chciał, by należała do niego już na zawsze. Nie pamiętał już czasów, kiedy kładł się spać, nie myśląc o Freddie Crossman, i nie budził z myślą o niej. A jednak zapytał:

- Czy na pewno tego chcesz? - Nie chciał, aby kiedyś żałowała. - Byłaś w takim stresie. Przeżyłaś szok.

- Jeszcze niczego w życiu nie byłam tak pewna - powiedziała, zarzuciła mu ręce na szyję i znowu pocałowała.

- Freddie... - powiedział ostrzegawczo drżącym głosem, by dać jej jeszcze chwilę do namysłu, póki nad sobą panował.

Jednak gdy wyciągnęła koszulę z jego spodni i pieściła rozpalone ciało, przestał się kontrolować.

Całował ją łapczywie, gorąco. Drżącymi palcami usiłował rozpiąć guziki jej bluzki. Ona poradziła sobie szybciej, zsunęła koszulę z jego ramion, pieściła jego tors, obsypała go pocałunkami.

Potknął się, usiłując zdjąć buty i dżinsy, a Freddie pieszczotliwymi ruchami dłoni uspokajała go i podniecała jednocześnie.

- Spokojnie... - wyszeptała. - Nigdzie się nie wybieram.

Tak, to prawda, to on miał zamiar odjechać. Ale nie teraz. Później. Rano. Jeszcze nie teraz.

Brakowało jej siły woli. Silniejsza kobieta zdołałaby mu się oprzeć, podziękowałaby Gabe'owi za uratowanie synowi życia - a potem pomachałaby na pożegnanie i odetchnęła 7 ulgą, gdyby zniknął jej z oczu.

Nie Freddie. Nie teraz. Nie tej nocy. Potrzebowała jego dotyku, ciepła, potrzebowała jego!

Powiedziała prawdę. Kiedy nie wiedziała, gdzie on jest, czy coś mu się nie stało, choć Charlie był już bezpieczny - czuła rozpacz, smutek, poczucie straty. Żal jej było tego wszystkiego, co mogli przeżyć. Co mogło się wydarzyć. Nie oczekiwała, że to będzie na zawsze. Ale wiedziała, że dobrze robi. Miała nadzieję, że nie angażując się w żadne związki po śmierci Marka, uchroni siebie przed kolejnym cierpieniem. Teraz myślała inaczej. Nie ma sposobu, by uchronić się przed bólem. Jest wpisany w życie. Istnieje tylko udawana obojętność. Teraz wiedziała, że to jest najgorsze ze wszystkiego.

Leżała teraz, patrząc, jak Gabe śpi, okryła go kołdrą. Uśmiechnął się lekko przez sen. Przyciągnął ją do siebie.

Freddie wtuliła się w niego, z trudem powstrzymując łzy. Ucałowała go delikatnie w policzek.

- Kochan cię - wyszeptała.

Nie słyszał jej, ale tak było dobrze.

Gabe jeszcze leżał w łóżku, gdy dzieci się obudziły. Na szczęście nie w sypialni ich matki. Było cudownie tak z nią leżeć, zbyt kusilo go, by zostać jeszcze trochę, skraść jeszcze parę pocałunków

Nagle Freddie usłyszała, że Emma już wstała, i prawie wyskoczyła z łóżka, chwytając koszulę nocną.

- Nie mogą cię tu zobaczyć! - syknęła.

- Nie zobaczą - obiecał. Lecz gdy zniknęła w łazience, leżał jeszcze przez chwilę, napawając się zapachem i dotykiem pościeli. Wreszcie wstał, ubrał się i posłał łóżko.

- Wyjdziesz wreszcie? - spytała Freddie, już w szlafroku. Policzki miała zaróżowione. Usta cudownie obrzmiały od pocałunków. - Gabe! Nie chcę im się tłumaczyć! - Wyglądała na zrozpaczoną i nieszczęśliwą.

Dlatego, że wyjeżdżał? Czy dlatego, że nie wyjechał poprzedniego wieczora? Czy go kochała?

- Gabe!

- Wiem, wiem! - Wystawił głowę za drzwi. Nie zauważył dzieciaków, ich głosy dobiegały z dalszej części domu.

Przemknął schodami na dół. Jego bagaż stał przy drzwiach, tam gdzie go wczoraj zostawił. Musi tylko przemierzyć pokój, wziąć torbę i wyjść. W pięć sekund może się znaleźć za drzwiami. Za kolejnych pięć w samochodzie. Nie będzie więcej pożegnań. Nie zobaczy już Charliego ani Emmy. Ani Freddie.

Rozległ się tupot nóg na schodach. Obejrząwszy się, ujrzał Charliego i Emmę, którzy wpatrywali się w niego ze zdumieniem.

- Gabe! - Zbiegli pędem, lecz stanęli jak wryci na widok jego torby przy drzwiach.

Wzruszył lekko ramionami i włożył kapelusz. Emma pociągnęła nosem, a Charlie zaczął szybko mrugać oczami.

- Było już późno... Więc pomyślałem, że pojedę rano... - wyjaśnił.

Zjawiała się Freddie. Była w dżinsach i zielonym swetrze. Schludna i czysta. Tylko włosy miała jeszcze rozpuszczone. Tak jak w nocy, gdy zanurzał w nich twarz, dłonie, przytulał do nich swój policzek. Poczuł ucisk w gardle.

Freddie patrzyła na niego bez słowa. Była blada. Nie wyglądała jak kobieta, z którą się kochał tej nocy, lecz jak kobieta o złamanym sercu. Czy naprawdę tak było? Czy chciała, by został? Ale to oznaczało małżeństwo. Poświęcenie. Odpowiedzialność. Wszystko to, przed czym Gabe uciekał przez wiele lat. To znaczyło, że ma być taki jak Randall. A może znaczyło, że może robić te wszystkie rzeczy po swojemu?

- Czy mogę cię kiedyś odwiedzić w Montanie? - spytał Charlie.

- Charlie! - upomniała go Freddie.

Lecz chłopiec ją zignorował. Nie odrywał wzroku od Gabe'a.

- Mogę? Mogę przyjechać i nauczyć się, jak być prawdziwym kowbojem? Kiedyś?

Gabe zaczął się zastanawiać nad tym „kiedyś”. Pomyślał o wszystkich „kiedyś”, które go czekały - bez Charliego, bez Emmy, bez Freddie - jeśli wyjdzie za te drzwi. I nagle, bez namysłu, wypalił:

- Po co czekać?

- Co takiego? - Charlie, Emma i Freddie powiedzieli to jednocześnie.

- Po co czekać? - powtórzył Gabe. - Jedźcie ze mną. Liczy się tylko terażniejszość - mówił szybko, bez namysłu, jakby ujeżdżał właśnie najgroźniejszego byka. - Kocham cię - wyrzucił z siebie. - Mogłabyś za mnie wyjść, Fred, i pojechałibyśmy do Montany. Wszyscy. Co ty na to?

Oczy dzieci pojaśniały jak świeczki na choince. Freddie stała jak skamieniała. Gabe, wykonawszy ośmiosekundową, najtrudniejszą jazdę w swym życiu, spanikował. Nie mógł wytrzymać i czekać na jej reakcję, niby na ocenę sędziów. Wyszedł szybko za drzwi.

Freddie patrzyła na niego z niedowierzaniem. Rozpierała ją radość, nadzieja, ale nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Czy oświadczył jej się i wyszedł?

A Gabe stał przy samochodzie i pogwizdywał! Wybiegła za nim i chwyciła go za ramię.

- Spójrz na mnie!

Nie chciał. Miał zaczerwienioną twarz, strząsnął jej rękę i zaczął pakować torbę do bagażnika.

- Nie mogę... - mruknął. - Przepraszam. Ja...

I wtedy zrozumiała. On taki właśnie był. Przerażony, gdy zaczynało mu na kimś zależeć, udający, że nic go to nie obchodzi. Znowu złapała go za ramię.

- Gabe... Ja też cię kocham. Znieruchomiał. Lecz nadal milczał.

- Spójrz na mnie, proszę. Poproś mnie jeszcze raz o rękę. Potrzebuję cię.

Powoli się do niej odwrócił i patrzył przez długą chwilę bez słowa, lecz jego oczy wyrażały wszystko.

- Ja też cię potrzebuję - powiedział ochryplym ze wzruszenia głosem. - Dla ciebie chcę być odpowiedzialny,

robić te wszystkie dorosłe rzeczy, które zdaniem hrabiego zrobią ze mnie mężczyznę.

- Już jesteś mężczyzną.

Uśmiechnął się szeroko. A potem namiętnie ją pocałował, podczas gdy Charlie i Emma pokrzykiwali i podskakiwali z radości. Rzucił im rozbawione spojrzenie, a potem zwrócił się do Freddie:

- Kocham cię, Fred. Wyjdiesz za mnie? Pojedziesz ze mną do Montany?

Freddie dotknęła jego policzka, najpierw dłonią, potem ustami. Objęła go w talii i przytuliła się mocno do niego.

- Tak, Gabe - powiedziała. - Tak!

Tymczasem na ranczu...

RANDALL

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dobrze było znów się tu znaleźć. Randall wyszedł z lotniska Bozeman i zobaczył śnieg. Ostatnio był w Montanie dwanaście lat temu, w samym środku upalnego lata. Teraz ośnieżone góry otaczające rozległą dolinę tworzyły bajeczny widok. Randall wziął głęboki oddech. Powietrze było jak szampan.

Wcale nie planował przyjazdu tutaj. Jednak Gabe otworzył hrabiemu oczy i starszy pan zrozumiał wreszcie, że jego dziedzic zaharowuje się na śmierć. Postanowiono więc wysłać Randalla na parę tygodni do Montany - na ten czas, gdy Gabe będzie w Devonie.

Nie sprzeciwiał się tak bardzo. Głowa pękała mu od wszystkich obowiązków i nagle parę tygodni wolnych od trosk wydało mu się nie lada atrakcją.

- Mam być tobą przez jakiś czas, więc ty możesz być mną
- zażartował Gabe.

- Mam kierować ranczem? - spytał przerażony Randall.

- Znam swoje możliwości, nawet jeśli ty ich nie znasz.

- Daj spokój! Jest styczeń, najspokojniejszy miesiąc w roku. Zresztą moja mama tam będzie i zajmie się wszystkim, co wymaga podejmowania decyzji. A ty tylko wypoczywaj. Pobawisz się lassem pojeździsz konno.

Claire miała po niego wyjść, ale nigdzie jej nie zauważył. A przynajmniej tak mu się wydawało. Gdy ostatnio ją widział, miała dwanaście lat i być może teraz jej nie poznał - wtedy nie zwracał na nią szczególnej uwagi. Deptała Gabe'owi po piętach i była strasznym utrapieniem - tyle tylko pamiętał.

Gdy zastanawiał się, czy zapomniała o tym, że miała odebrać go z lotniska, zauważył wysokiego chłopaka w dżinsach, kożuchu i wielkim kapeluszu, który zmierzał wprost ku niemu. Po bliższym przyjrzeniu się chłopak okazał się dziewczyną.

Stała przed nim, z kciukami zatkniętym za pasek, po czym zsunęła nieco kapelusz do tyłu i otaksowała go krytycznym spojrzeniem.

- Lord Stanton? - spytała wyzywającym tonem.

- Randall.

- Claire. Przepraszam za spóźnienie.

Randall podał jej rękę i omal nie syknął z bólu, tak mocny był uścisk.

- To pańskie? - Wskazała na torby.

- Tak.

Randall pochylił się, lecz uprzedziła go, chwyciła najcięższą torbę i ruszyła, rzucając przez ramię:

- Tędy.

Nie miał wyboru - podążył za nią, niosąc mniejszą torbę i czując się jak frajer. Zastanawiał się, czy ta groźna dziewczyna zamierza za chwilę sypnąć mu śniegiem w twarz.

Podeszła do furgonetki, która pamiętała lepsze czasy, i wrzuciła ciężką torbę na tył. Wyrwałaby mu też drugą, gdyby Randall stanowczo jej nie powstrzymał.

- Mamy przed sobą godzinę jazdy - powiedziała, sadowiąc się za kierownicą. - Dobrze się pan czuje?

- Tak, dziękuję. A jak tam ciocia Elaine? Cieszę się, że ją zobaczę.

- Obawiam się, że nie - powiedziała Claire, zawracając samochód. - Poczula się lepiej i chciała zobaczyć ojca, więc poleciała do Londynu. Pewnie minęliście się nad oceanem.

- To znaczy, że mam prowadzić ranczo? - spytał zaskoczony Randall.

- Nie ma obawy - odparła spokojnie Claire. - Nikt nie zamierza powierzyć panu żadnych poważnych zajęć. Mamy Franka, świetnego zarządcę. On i ja zajmiemy się wszystkim.

- Miło mi to słyszeć.

Speszyła go jej nie ukrywana wrogość. Był speszony, lecz nie zdziwiony. Dawniej Claire, sierota, która wychowywała się na ranczu od pierwszego tygodnia życia, też ciągle się na niego dąsała. Była bardzo oddana ziemi, przybranym rodzicom, a przede wszystkim Gabe'owi.

Randall odwrócił głowę, by przyrzeć się jej lepiej i zobaczyć, jak się zmieniła. Claire zrzuciła kapelusz, odsłaniając niedbale odgarnięte do tyłu ciemnorude włosy. Miała typową dla rudzielców bladą, porcelanową cerę i niebieskie oczy. Mogłaby być śliczna, gdyby nie robiła wszystkiego, by zatuszować swą kobiecość.

- Czy miał pan dobry lot, lordzie Stanton? - spytała.

- Nie jestem lordem Stantonem - wyjaśnił Randall. - Jest nim mój dziadek, hrabia. Jestem lord Randall, ale może mówmy sobie po imieniu.

- W takim razie bycie lordem to nic wielkiego.

- Otóż to.

- Pewnie już nie pamiętasz, jak tu jest.

- Dwanaście lat to szmat czasu, ale pamiętam piękne krajobrazy. Oczywiście to było latem.

- Ciepło ci? Mam jeszcze jeden kożuch z tyłu.

- Dziękuję, jestem dobrze przygotowany. W Anglii też jest zima.

- Ale nie taka jak tutaj.

- Gabe w każdym razie bardzo narzekał na zimno, gdy wyjeżdżałem.

- A jak on się miewa?

- Poza tym, że pogoda mu się nie podobała, miał się świetnie. Był przekonany, że zrobi porządek w Devonie.

Nie odpowiedziała. Wpatrzyła się w drogę i Randall był z tego zadowolony. Dobrze, że autostrada świeciła pustkami, bo Claire prowadziła tak, jakby była sama na drodze.

Znajdowali się już wyżej, na przełęczy górskiej, i zmięrzali na wschód w stronę doliny Shields. Wokół rozpościerało się wielkie pasmo górskie. Powietrze było tak przejrzyste, że zdawało się, jakby szczyty znajdowały się w zasięgu ręki, choć przecież były bardzo daleko.

Tak samo Anglia - była daleko, a wraz z nią wszystkie uciążliwe obowiązki. Randall poczuł się komfortowo, zagłębił wygodnie w fotelu i westchnął z zadowoleniem.

Claire rzuciła mu nieprzychylnie spojrzenie. Wszystko w nim ją denerwowało, poczynając od tego, że był bardzo podobny do swego kuzyna. Tak samo wysoki, smukły i długonogi, różnił się tylko elegancją. Miał takie same ciemne włosy, szczupłą, przystojną twarz, boleśnie podobną do twarzy Gabe'a.

Tylko że to nie był Gabe. A to było najgorsze ze wszystkiego.

To Gabe powinien dziś wrócić do domu, powitać ją wesołym okrzykiem, śmiejąc się, zajrzeć jej w oczy i wtedy - tak bardzo tego pragnęła - pojąć wreszcie, że ona jest tą dziewczyną, którą kocha.

Zamiast tego musiała zajmować się tym nadętym angielskim arystokratą o wyniosłych manierach, gładkim akcencie, facetem, któremu się wydawało, że może się pakować na ranczo. I jeszcze nim kierować! Co on sobie wyobraża?

Wiedziała, że nie jest tak całkiem w porządku. Powinna zgotować mu miłsze powitanie. W końcu to nie jego wina, że nie jest Gabe'em.

A właśnie, że jego, do cholery!

- A więc co mój braciszek zamierza? - spytała, siląc się na swobodny ton. - Dlaczego właściwie został w Anglii? Coś mi tam tłumaczył przez telefon, ale nie wiedziałam, o co mu chodzi.

Randall uśmiechnął się szeroko.

- Założył sidła, a potem sam w nie wpadł.

- Co to znaczy?

- Wyświadczył mi przysługę, przekonując staruszkę, że za ciężko pracuję i zamiast jechać do Devonu, powinienem odpocząć. Hrabia podpuścił go, żeby przejął moje obowiązki, i było za późno, by Gabe mógł się wycofać. Wiesz, jaki on jest. Mocny w gębie. Ale go czeka niespodzianka!

Gdy zamilkł, usłyszał, o ile się nie mylił, że Claire zgrzytnęła zębami ze złości.

- Świetnie - odezwała się po chwili. - Po prostu wspaniale. Czy nikt - łącznie z Gabe'em - nie pomyślał, że jest potrzebny tutaj?

- Czy Gabe kiedykolwiek przestaje myśleć? - odpalił Randall. - Pamiętam, że jak byłem tu ostatnio, ciągle miał jakieś pomysły, przez które wpadaliśmy w tarapaty, i nawet parę razy szeryf odstawiał nas do domu.

- Świetnie, zwałaj winę na niego!

- Winę? - spytał z rozbawieniem Randall. - Chcesz chyba powiedzieć: przypisywać zasługę. Wściekłby się, gdyby nie mógł postawić na swoim. Zabawne, że kobiety nigdy nie są w stanie pojąć takich oczywistości.

To było najgorsze, co mógł powiedzieć. Wspomnienia tamtego koszmarnego lata wróciły do Claire: miała dwanaście lat i uważała Gabe'a za swego bohatera. Był jej idolem, bożyszczem. Przez całe dzieciństwo łąziła za nim jak cień, latała na posyłki, była szczęśliwa, gdy odezwał się do niej, w siódmym niebie, gdy raczył z nią spędzić chwilę. I wciąż marzyła o tym, że za rok będzie wystarczająco dorosła, by zwrócił na nią uwagę.

I wtedy przyjechał z wizytą jego kuzyn z Anglii. Chłopcy stali się nierozłączni. Mieli swoje sprawy, do których nie dopuszczali dwunastolatki. Co gorsza, zostali „braćmi krwi”,

bo Randall, ignorant, jak wszyscy Anglicy, uważał, że to indiańska tradycja. Najgorsze było, że podsłuchiwała, jak Gabe mówił: „Nie mów nic tej cholernej Claire, bo da nam wykład na temat «hollywoodzkich fantazji»”.

Tej nocy nie mogła zasnąć, tylko płakała. „Ta cholerna Claire...” Ale jeszcze gorsze były słowa „nie mów”. Randall stał mu się bliższy od niej.

A teraz zjawił się tu znowu, trzymał Gabe'a z dala od niej, miał z nim jakieś sekrety. Wtedy był jej wrogiem i teraz też było tak samo.

Robiło się ciemno, zmrok okrywał szybko góry. Wkrótce rozpostarły się przed nimi wielkie połacie pastwisk. Nie odrywając oczu od drogi, Claire powiedziała:

- Gabe wspominał, że przywozisz jakiś prezent dla rancza, ale nie zdradził, co to jest.

- Zgadza się, mam to w torbie.

- Powiesz mi, co to takiego?

Randall zawahał się. Wolałby to zrobić później, w innych okolicznościach.

- Gabe chwalił się swoim stadem rasy Hereford, więc ja zacząłem zachwalać swojego Reksa. To byk, który zgarnął wiele nagród, więc tak od słowa do słowa... - przerwał taktownie.

- Chcesz powiedzieć, że przywiozłeś jego spernę? - spytała obcesowo Claire.

- Tak - odparł, przyparty do muru. - Skoro chcesz wziąć, hm, byka za rogi... owszem, przywiozłem jego nasienie.

- Dlaczego od razu nie powiedziałaś?

- No cóż, mężczyzna ma pewne obiekcje, to znaczy, w rozmowie z kobietą... w kulturalnym towarzystwie nie porusza się pewnych tematów... Cholera! Dlaczego Gabe sam ci nie powiedział?

- Bo pewnie miał niezły ubaw, wyobrażając sobie przebieg tej rozmowy.

- To w jego stylu.

- W każdym razie nie musisz przejmować się żadnym kulturalnym towarzystwem. Jesteś już na ranczu.

Właśnie minęli szeroką bramę, a po przejechaniu trzech mil dotarli do domu. Randall ucieszył się na jego widok, bo marzył o tym, by rozprostować nogi zdrętwiałe po długiej podróży i napić się czegoś ciepłego.

Dom był duży, dwupiętrowy, malowniczo pokryty cienką warstwą śniegu. Od razu wchodziło się do wielkiego pokoju z wypastowaną drewnianą podłogą, na której leżały tu i ówdzie kolorowe chodniki. Na ścianach też wisiały dywany, a w kamiennym kominku, pełnym drewnianych szczap, buzował ogień, który odbijał się w lśniącej skórze bordowych skórzanych foteli.

- Wspaniale - powiedział Randall, rozglądając się z przyjemnością po przytulnym wnętrzu. - Niewiele się tu zmieniło od mego ostatniego pobytu, kiedy przeżyłem najpiękniejsze lato mojego życia. Czy dostanę ten sam pokój?

- Będziesz mieszkał w pokoju Gabe'a. To jego polecenie. Schyliła się po cięższą torbę, lecz Randall był szybszy, złapał obie i spojrzał na nią wyzywająco. Odpowiedziała mu tym samym, więc poznał siłę jej błękitnego spojrzenia, nim odwróciła się, by poprowadzić go na górę po szerokich schodach.

Gdy wyszła z pokoju, w którym go zostawiła, Randall rozejrzał się po nim z przyjemnością, jaką wywołały wspomnienia. Tu mieszkali razem z Gabe'em, czytali zakazane książki przy latarce, gadając i popijając podkradaną whisky. Dwa łóżka zastąpiło jedno tak szerokie, że wysoki mężczyzna mógłby położyć się w poprzek.

Pomyślał, że zadzwoni do Gabe'a, ale uświadomił sobie, że w Anglii jest wczesny ranek, choć tutaj wczesny wieczór. Długi lot i różnica czasu zaburzyły jego wewnętrzny zegar. Ziewnął, starając się opanować znużenie.

Wziął prysznic w łazience Gabe'a i od razu poczuł się lepiej. Zajrzał do szafy, gdzie znalazł koszulę w kratę i dżinsy. Wziął z Anglii niewiele rzeczy, bo Gabe powiedział, żeby korzystał z jego garderoby.

Ziewnął znowu i wyciągnął się na łóżku, zadowolony, że się tu znalazł. Abstrahując od innych problemów, jest z dala od Hon Hon - Honorowej Honorii, jak Gabe przezywał pewną pannę. Myśl przyszła niespodziewanie i samego go zaskoczyła. Ostatnio zaczął się poważnie zastanawiać nad poślubieniem Honorii. Nie byli w sobie zakochani, ale doskonale nadawała się na żonę dziedzica tytułu hrabiowskiego i był już czas się zenić.

Honorina podzielała tę opinię. Na przyjęciu urodzinowym dziadka nie odstępowała Randalla na krok. Mówiono, że stanowią „cudowną parę”. I nagle poczuł się jak w pułapce.

Nie wiedział, co tak naprawdę się zmieniło, ale miało to związek z nagłym wtargnięciem Gabe'a w jego życie. Było jak powiew świeżego powietrza. Nieodpowiedzialny, szalony Gabe, który nigdy nie planował dalej niż kolejny romans albo kolejna whisky. Będzie zabawnie „pobyć nim” przez jakiś czas.

Randall nie wiedział, kiedy poddał się znużeniu. W dziesięć minut później do drzwi zapukała Claire.

- Kolacja gotowa!

Nie słysząc odpowiedzi, zajrzała do środka i aż się zachłysnęła, widząc na łóżku Gabe'a mężczyznę, który miał na sobie jego ubranie, a zmierzwiłone po kąpieli włosy jeszcze bardziej podkreślały uderzające podobieństwo.

Podeszła bliżej. To mógłby być Gabe, wolno jej przecież pomarzyć. Tylko przez chwilę. Kochała Gabe'a, ale on był daleko, czuła się bez niego taka samotna. Usiadła cicho na krześle koło łóżka i z mieszanymi uczuciami - szczęścia i rozpaczy - wpatrzyła się w śpiącego Randalla.

Nie wiedziała, że ocknął się ze snu i przyglądał jej się spod przymkniętych powiek, zdziwiony wyrazem jej twarzy. Przez delikatność poruszył się, zanim całkiem otworzył oczy, dając jej czas na to, by mogła się zerwać i przybrać obojętny wyraz twarzy.

- Zajrzałam, bo kolacja jest gotowa - mruknęła. - Nie wiedziałam, czy cię budzić.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Wcale nie. Czekam na dole - rzuciła opryskliwie i wyszła.

Randall skrzywił się. Być może Claire miała wiele zalet, ale nie zaliczała się do nich uprzejmość.

Ale uprzejmość zdawała się teraz znaczyć dla niego mniej. Cieszył go natomiast widok Claire. Po zdjęciu obszernego kożucha okazała się szczupła i bardzo zgrabna, co podkreślały obcisłe dzinsy. Jak mógł ją wziąć za chłopaka?

Randall zszedł na dół i znalazł Claire w kuchni, gdy mieszała w garnku coś, co smakowicie pachniało. Rozpuszczone włosy opadały jej teraz na twarz, łagodząc nieprzyjemne wrażenie, które starała się sprawiać.

Randall podał jej gościniec, pudełeczko z największym skarbem Reksa. Wzięła je bez cienia zmieszania i poszła gdzieś schować. Randall rozejrzał się po ciepłej kuchni. Pośrodku stał wielki stół, przy którym zmieściłoby się spokojnie dziesięć osób, ale nakryto dla dwóch.

- Inni już zjedli - wyjaśniła po powrocie.

- Inni?

- North, Dave, Olly. Latem bywa ich więcej. Czekaając, aż Claire poda mu kolację, Randall rozejrzał się z przyjemnością po dobrze znanym miejscu. Claire patrzyła na niego z niechęcią.

- Dom nie jest tak wielki jak siedziba Stantonów.

- Oczywiście. Nic nie jest tak wielkie - odparł Randall, patrząc na nią obojętnie.

Świetnie! pomyślała ze złością. Ten Angol jest tak zarozumiały, że trudno mu nawet wsadzić szpilę.

Nałożyła gulasz na talerz, który postawiła przed Randallem. Gdy zjedli, postanowił ją o coś zapytać.

- Możesz mi powiedzieć, o co właściwie chodzi? Atmosfera jest taka, że można siekierę powiesić.

- Gabe powinien być tutaj i kierować ranczem, a nie włóczyć się na drugim końcu świata.

- Ale powiedział mi, że teraz jest bardzo mało pracy na ranczu.

- Tu zawsze jest kupa roboty - odparła zdecydowanie Claire.

- Czekam na polecenia - rzucił żartobliwie. - Szybko się uczę, jestem uczciwy, porządny i... niewiele jem - zakończył triumfalnie.

Ku jego radości parsknęła śmiechem i wyglądała wtedy prześlicznie. Szybko jednak przybrała nieprzystępny wyraz twarzy. Randall nie zważał na to i wciąż przyglądał jej się z przyjemnością.

- Dlaczego się na mnie gapisz? - spytała.

- Zastanawiałem się, skąd masz te cudowne rude włosy.

- Nie mam pojęcia. Jestem podrzutkiem. Myślałam, że o tym wiesz.

- Tak, wiem. Gabe znalazł cię w pudle na tylnej werandzie, gdy miał siedem lat.

- Zgadza się. Była tam tylko kartka z informacją, że jestem córką niejakiego Abe Stevensa. Pracował wcześniej na farmie, ale wtedy już go tu nie było.

- Pamiętam, jak ciocia Elaine mówiła, że Gabe wziął cię pod skrzydło, zachowywał się, jakbyś była jakimś szczeniakiem, którego dostał pod opiekę.

Ciotka Elaine ustaliła z władzami, że zajmie się dzieckiem do chwili odnalezienia matki, ale nigdy jej nie odnaleziono.

- Gabe nawet wybrał mi imię - powiedziała. - I ubłagał rodziców, by mnie zatrzymali.

Od tego czasu minęły dwadzieścia cztery lata i wciąż tu mieszkała. Nic dziwnego, że była tak oddana swemu „starszemu bratu”.

- Nikt nie zna mego pochodzenia - ciągnęła Claire. - Może moimi przodkami są złodzieje albo mordercy? - rzuciła prowokacyjnie, sugerując, że nie jest odpowiednim towarzystwem dla jego lordowskiej mości.

Jednak Randall znał taki snobizm na opak i wiedział, jak należy do tego podchodzić.

- A może królowie, królowe, jakiś sułtan? - ciągnął. - Być może masz krew bardziej błękitną od mojej. A tak w ogóle nigdy nie wiadomo, skąd się bierze błękitna krew.

- To znaczy?

- Stantonowie byli okropnymi ludźmi. Hazardziści, rzezimieszki, złodzieje. Zdobyli fortunę w podejrzanym sposobie, a potem kupili sobie tytuł, wielki dom i zaczęli zgrywać się na prawdziwych arystokratów. Ci wszyscy, którzy pamiętali, że pochodzą z plebsu, pomarli i tak oto ich krew pobłękitniała.

Claire znów parsknęła nieopanowanym śmiechem. Nakładając Randallowi dokładkę, przyglądała mu się zdezorientowana. Nie była przyzwyczajona do takiego sposobu wypowiedzania się. Dowcipy Gabe'a były

bezpośrednie i rubaszne. Pozostali mieszkańcy rancza mieli podobny styl bycia, nawet ciocia Elaine.

Randalla cechowała ironia, typowo „brytyjskie” poczucie humoru.

- Nie daj się nabierać na te arystokratyczne dyrdymały, Claire - powiedział Randall i uśmiechnął się szeroko.

To był przepiękny uśmiech. Claire szybko odwróciła głowę.

- Pewnie, że nie. Od razu przejrzałam cię na wylot.

- Mam nadzieję - odparł.

Liczył na to, że znów się roześmieje, ale na próżno.

- Bardzo dobre jedzenie. Ty ugotowałaś?

- To zwykły gulasz.

- Jeszcze takiego dobrego nie jadłem.

Nie odpowiedziała na komplement, wstała i zabrała pusty talerz, po czym postawiła przed nim drugi, z wielkim kawałkiem wiśniowego placka. Zanim zdążył zaprotestować, nałożyła też sporą porcję lodów.

- Nie! Zamierzasz mnie utuczyć?

- Gabe codziennie tyle je i nie tyje.

- Ale ja nie jestem Gabe - przypomniał jej łagodnym tonem.

- Racja - odparła i wyrzuciła lody do zlewu.

- Może powiesz mi, co jest do roboty? - zagadnął.

- Najważniejsze jest dokarmianie stada. Nie mają trawy, bo śnieg pokrywa pastwiska, więc trzymamy je bliżej i codziennie karmimy sianem.

- Ja robię to samo z moimi.

- Osobiście?

- Nie, mam zarządcę. Czy to ważne?

- Zastanawiałam się tylko, czy jesteś przyzwyczajony do śniegu. Pewnie wolałbyś zostać w ciepłym domu.

- Nie, wolę ci pomóc - odparł bez zastanowienia. Poczowała wyrzuty sumienia.

- Słuchaj, nie ma takiej potrzeby. To znaczy, dlatego, że ci dokuczałam...

- Nie na tyle, żebym robił coś, na co nie mam ochoty. - Uśmiechnął się. - Ale możesz próbować dalej.

Nie odpowiedziała na tę zaczepkę.

- Jutro zrobimy dwa wypad, pierwszy przed śniadaniem.

- Wybiorę się za drugim razem. Nie jestem masochistą.

- W zimie kładziemy się wcześniej - oznajmiła. - Wstajemy o brzasku. Myślę, że w nocy spadnie sporo śniegu.

- W porządku. - Randall ziewnął.

- Frank wyjechał w interesach. Pomocników spotkasz jutro. - Zawahała się. - Może być trudno nawiązać z nimi kontakt.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

Poszli razem na górę. W korytarzu powiedział:

- Nie musisz odprowadzać mnie do pokoju. Pamiętam drogę.

- Dobrze. Dobranoc. - Claire otworzyła drzwi do swojej sypialni, lecz zatrzymała się, jakby coś sobie przypominając.

- W szafie masz dodatkowe koce - powiedziała. - Może być naprawdę zimno. Randall?

Patrzył ponad jej ramieniem na mały stolik przy łóżku. Claire podążyła za jego spojrzeniem, powiedziała szorstko: „Dobranoc” i zamknęła mu drzwi przed nosem.

A więc to tak! pomyślał. Przy łóżku Claire stało zdjęcie Gabe'a, który uśmiechał się na nim łobuzersko. A więc Claire zrobiła Gabe'owi ołtarzyk i wściekała się na Randalla za to, że nie jest tym właściwym mężczyzną.

Randall wcale się tym nie przejął. Przyjemnie było odprężyć się w towarzystwie kobiety, która nie zamierzała go

upolować. Po doskonałych manierach lady Honorii i innych panien otwarta niechęć sprawiała mu niemal ulgę.

Z uśmiechem położył się do łóżka i od razu zasnął kamiennym snem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jednak nie spał zbyt dobrze - musiał wstać po dodatkowe koce. Zrozumiał, że zima w Montanie to nie żarty. Choć przykrył się wszystkimi pledami, jakie znalazł, i tak było mu zimno.

O brzasku wstał z łóżka i otulony kocami obserwował wschód słońca. Był niesamowity: krajobraz pogrążony w szarościach stał się nagle perłowy, cudownie rozświetlony.

Posiadłość Stantonów była duża, ale nie mogła się równać z ranczem. Najpierw z mroku wynurzył się jeden budynek, potem następny. Randall miał wrażenie, jakby duchy wychodziły z mgły. Gdzieś w oddali zarżał koń. Wreszcie pojawiło się pastwisko, połyskujące bielą, bo jak przypuszczała Claire, spadł śnieg. Pokrywał grubą warstwą ziemię, zasypał wejścia do budynków.

Randall nie miał specjalnego sentymentu do śniegu, mimo całej jego urody. Wiedział, że może stanowić wielkie zagrożenie, zwłaszcza w takim oddalonym od świata miejscu.

Jednak tego ranka miał inne zmartwienia - dziś spotka się z pracownikami farmy. Wiedział, jak wiele zależy od tego spotkania. Gabe mniej więcej opisał mu mieszkańców rancza.

- Frank jest zarządcą. Mieszka wraz z żoną w domu na terenie rancza. Jest małomówny, ale to świetny gość. Obecnie jest tylko trzech pracowników, którzy mieszkają w osobnej chacie.

Gdy Randall schodził na dół, zobaczył, że czeka na niego trzech mężczyzn, przytupujących i chuchających w dłonie, jakby właśnie wrócili z podwórza. Stali z zadartymi głowami i taksowali go ironicznym spojrzeniem, gdy schodził po schodach - było to bardzo irytujące, lecz Randall miał mocne nerwy.

Na przodzie stał krępy, jasnowłosy mężczyzna po trzydziestce. Był na swój sposób przystojny, ale wyraz jego

twarży nie był szczery. Z opisu Gabe'a Randall domyślił się, że to Dave, szef robotników. Obok niego stał mężczyzna z białą brodą i strzechą gęstych białych włosów, którego zwano podobno Olly. Randall zauważył, że pomimo siwizny Olly ma czerstwe, rumiane policzki, a oczy błyszczące i pełne życia.

Trzeci z mężczyzn stał nieco z boku. Był młody, pewnie przed trzydziestką, wysoki i smukły, ciemnowłosy i ciemnooki, miał szczupłą twarz.

Zjawiała się Claire i przedstawiła sobie obecnych.

- To jest Dave - powiedziała, wskazując krępego mężczyznę, który uśmiechnął się drwiąco. Randall poczuł miażdżący uścisk jego dłoni.

Olly posłał mu życzliwy uśmiech, lecz jego uścisk był również bardzo mocny. Randall z trudem powstrzymał chęć rozmasowania dłoni.

- A to North - powiedziała Claire, wskazując najmłodszego z mężczyzn.

North wysunął się miękko do przodu i uśmiechając się przyjaźnie, uścisnął dłoń Randalla, nie siląc się na pokaz krzepy. Wyglądało na to, że tylko on jeden z całej trójki nie ma żadnych uprzedzeń w stosunku do przybysza, i Randall natychmiast poczuł do niego sympatię.

- Śniadanie! - zawołała Claire i cała trójka ruszyła do kuchni. Przy piecu stała potężna Indianka w średnim wieku i mieszała owsiankę.

- Ma na imię Susan - poinformował wcześniej Randalla Gabe. - Zatrudniłszy ją zeszłego lata, by gotowała dla robotników. Ale gdy nadeszła zima i większość z nich się wyniosła, okazało się, że nie ma gdzie się podziać, więc została.

- Widzę, że nadal przygarniasz bezdomne sieroty - powiedział wtedy Randall. Dobroć Gabe'a była ujmująca.

Claire już chciała go przedstawić, lecz Randall uprzedził ją, wyciągając z uśmiechem rękę do Indianki.

- Jestem Randall, a ty pewnie masz na imię Susan. Gabe opowiadał mi o tobie. Powiedział, że robisz najlepszy placek agrestowy w Montanie.

Wyglądała na zachwyconą, lecz nie odezwała się ani słowem, tylko nałożyła mu na talerz dwa razy tyle co innym.

Randall zauważył, że Dave pospiesznie zajął miejsce koło Claire i wciąż wodził za nią wzrokiem, gdy wstawiała od stołu. Randall nie miał mu tego za złe. Miała zaróżowioną twarz od ciepła pieca, a włosy układały jej się w miękkie fale wokół twarzy. Randall gapił się na nią, oczarowany, nieświadom, że się uśmiecha. Dopiero ostrzegawcze spojrzenie Claire otrzeźwiło go i zabrał się do jedzenia.

Dave szybko pochłaniał swoją porcję.

- Nie ucieknie ci ta miska, Dave - zaśmiała się Claire.

- Im szybciej zjemy, tym szybciej uporamy się z robotą - powiedział. - Jeszcze mi zimno po pierwszym podejściu.

Spiorunował Randalla wzrokiem, jakby on ponosił za to odpowiedzialność.

- Ostatnim razem, gdy tu gościłem, było lato - rzucił Randall. - Ciekaw jestem, jak wygląda to wszystko zimą.

Próbował nawiązać uprzejmą rozmowę, ale podjął niewłaściwy temat, jak pokazała reakcja Dave'a.

- Śnieg nie jest tu dla ozdoby - prychnął pogardliwie. - Utrudnia życie. Ale ty pewnie nie masz o tym pojęcia.

- W Anglii też mamy śnieg. Tuż przed wyjazdem zrobiłem zdjęcie Gabe'a, który odgarniał śnieg sprzed ganku hrabiego.

- Hrabiego? - spytali chórem.

- Mojego dziadka. Nazywamy go hrabią, bo... rzeczywiście jest hrabią.

Po ich minach zobaczył, że znowu nie powiedział tego, co trzeba. Ale właściwie co miał powiedzieć, żeby wypaść dobrze?

- Mój dziadek był żalosnym starym draniem - powiedział Dave. - Ale nie nazywaliśmy go tak. Przynajmniej nie w oczy.

- Może powinniście - rzucił Randall. - A nuż by się zmienił?

North parsknął śmiechem, Olly wyszczerzył zęby, a Dave mruknął coś z wściekłością.

- Myślałem, że hrabiowie mają służących do czyszczenia ganków - rzucił North.

- Owszem - potwierdził Randall. - Ale hrabia powiedział, że skoro ma dwóch leniwych wnuków, musi ich jakoś wykorzystać. - Mając nadzieję, że trochę rozluźni atmosferę, dodał: - Przyniosę zdjęcia.

Znalazłszy się na schodach, oparł się o ścianę i westchnął. Było gorzej, niż oczekiwał. No cóż, przynajmniej życie będzie bardziej interesujące.

Znalazł zdjęcia i ruszył na dół. Gdy schodził, usłyszał śmiech, a potem głos Claire, która mówiła z naganą w głosie, lecz i z pewnym rozbawieniem:

- Przestań, Dave, on nie jest taki zły.

Bezczelny rechot Dave'a wywołał grymas niesmaku na twarzy Randalla. Przystanął na schodach i zaczął bezwstydnie podsłuchiwać.

- Nie taki zły? Takiego ubawu nie mieliśmy od miesięcy! Czuliście, jakie ma dłonie? Ani jednego odcisku.

- Jest lordem - zauważyła Claire. - Oni nie mają odcisków.

- No to znalazł się w niewłaściwym miejscu - rzucił Dave.

- Długo tu nie posiedzi - dodał Olly. - Założę się o pięćdziesiąt dolarów, że jutro wsiądzie do samolotu i odleci.

- Nie masz pięćdziesięciu dolarów - powiedział North.

- Nie szkodzi. Nie będą mi potrzebne.

- Dajcie mu szansę - odezwała się Claire.

- Pewnie, że damy - szydził Dave. - Szansę na przejażdżkę na Nailerze - znowu zarżał.

- Nie ma mowy - spokojnie, lecz stanowczo sprzeciwił się North. - Claire, nie możesz mu na to pozwolić, chyba że umie dobrze jeździć.

- Wszyscy arystokraci jeżdżą konno - zapewniła Claire. - Ale masz rację, nie chcę tłumaczyć się Gabe'owi z tego, że kuzyn skreślił kark.

- Ten Gabe! - zachichotał Olly. - Tylko on mógł zrobić nam taki kawał. Pewnie ma niezły ubaw!

- Słyszeliście, jak on mówi? - zarechotał Dave.

Tak się śmiał, że aż się zakrztusił i rozległ się odgłos klepania po plecach.

Randall stał przez chwilę w zamyśleniu. Zanim zszedł ze schodów, podjął pewną decyzję. Skoro tak chcieli z nim pogrywać - dobrze!

Wrócił do stołu, udając, że nie zauważył, iż na jego widok rozmowa się urwała. Położył z obojętną wyższością zdjęcia na stole. Dave mruknął coś pogardliwie, lecz pozostali rozłożyli je z zainteresowaniem.

- Kto jest Świętym Mikołajem? - spytał North, wskazując na wesołą postać o zaróżowionych policzkach.

- Mój dziadek, czyli lord Cedric, hrabia Stanton, wicehrabia Desborough, baron Stomaway i Ellesmere, dziedzic lordowskiego tytułu dworu Bainwick - odparł chłodno Randall.

- Nie wygląda na hrabiego - zauważył Olly.

- To nie jest konieczne - zapewnił Randall najbardziej pogardliwym tonem, na jaki go było stać. - Ważne, by mieć rodowód i żeby ludzie zdawali sobie z tego sprawę.

Claire skrzywiła się, nie rozumiejąc, dlaczego nagle zaczął mówić z akcentem słyszonym tylko w kiepskich przedstawieniach. Chciał do niej mrugnąć porozumiewawczo, lecz North o coś go zapytał, a Claire tymczasem wyszła po jajka na bekonie.

- Dobrze spałeś? - spytała, podając jedzenie.

- Świetnie - zapewnił. - Tylko było mi trochę za gorąco. Ale jak zrzuciłem parę koców, zrobiło się świetnie.

Widząc, że wszyscy patrzą na niego ze zdziwieniem, dodał:

- W Eton dają niezły wycisk, nie wiedzieliście?

- Tu też trzeba być twardym - powiedział Dave. - Umiesz jeździć konno?

- Dave! - mruknęła Claire ostrzegawczo. - Mówiłam ci już...

- Byłem w armii - rzucił znudzonym tonem Randall. - W kawalerii królewskiej.

Wyglądało na to, że Dave znów zamierza ryknąć śmiechem, ale spojrzenie Claire powstrzymało go przed tym. Susan dołała wszystkim kawy, zaczynając od Randalla.

W końcu wstali od stołu. Randall poszedł na górę. North i Olly udali się do swej chaty, a Dave został z Claire.

- Nawet Susan jest za nim, bo to lord - mruknął niechętnie.

- Pewnie dlatego, że tak miło się do niej odezwał. Niektórzy ludzie traktują ją jak mebel. - Spojrzała znacząco na Dave'a.

Mruknął coś niechętnie i odszedł. Claire musiała przyznać w duchu, że spodobała jej się uprzejmość Randalla wobec Susan. Pewnie Gabe mu tak poradził.

Susan sprzątała szybko ze stołu, a spojrzawszy z zadowoleniem na pusty talerz Randalla, rzuciła:

- Miły chłopiec.

- Oczywiście, przecież to kuzyn Gabe'a - przypomniała jej Claire.

- Ale jest przystojniejszy od niego - rzuciła prowokacyjnie Susan.

- Wcale nie!

Susan zachichotała i wycofała się ze stertą talerzy do zlewu. Claire rozejrzała się, a potem wyjęła z kieszeni koszuli zdjęcie Gabe'a, które ukradkiem zabrała z koperty jego kuzyna. Randall, który w chwilę później zbiegał po schodach, by zabrać zdjęcia, znieruchomiał na widok Claire, która ze smutkiem wpatrywała się w fotografię. Wyraz jej twarzy był tak czuły, bezbronny, że Randallowi aż ścisnęło się serce. Biedna Claire, pomyślał. Mój przyjazd to dla niej koszmar. Nie powinno mnie tu być.

Randall nie należał do szczególnie współczujących czy wrażliwych na kobiece uczucia, o czym miały okazję się przekonać jego byłe dziewczyny. Lecz udręka Claire dziwnie go poruszyła. Jeszcze nigdy nie odczuwał takiej empatii. Claire mieszkała sama w domu pełnym mężczyzn. Ciotka Elaine była wprawdzie miłą kobietą, ale dość szorstką, więc pewnie trudno było jej się zwierzać. Claire czuła się osamotniona, próbowała zachowywać się tak, by nie odstawać od zgrai facetów, tłumiła swoje uczucia.

Claire poruszyła się, a Randall szybko wycofał na górę. Nie chciał, by wiedziała, że stał się świadkiem jej smutku.

Złapał kurtkę i ruszył w stronę drzwi. Gdy je otworzył, ujrzał Claire.

- Przyszłam sprawdzić, czy dobrze się ubrałeś.

- Najgrubsza koszula Gabe'a - powiedział, rozkładając ręce, by jej się zaprezentować.

- Co masz pod spodem? - spytała, wchodząc do pokoju.

- Słucham?

Zaczęła rozpinąć mu koszulę, a Randall myślał przez chwilę, że jego najśmielsze marzenia właśnie się spełniają. Jednak jej bezceremonialne ruchy rozwiały szybko te złudzenia. Sprawdziła, co ma pod spodem.

- Masz tylko jeden podkoszulek - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Ależ moja droga, to zimowa bielizna, Gabe mnie uprzedził. Kaszmirowa, najcieplejsza na świecie.

- Włóż jeszcze dwie. Chcesz złapać zapalenie płuc? Skarpetki wełniane?

- Najlepsze.

- Włóż trzy pary, będziesz ich potrzebował.

- Czy mnie przebierzesz? Zapomniałem zabrać niani.

- Właśnie widzę. - Po chwili wahania dodała: - Uważaj na Dave'a, nie drażnij go.

- Jestem dużym chłopcem, Claire. Przeżyłem wojsko, to i z robotnikami na ranczu wytrzymam. - Uśmiechnął się dziwnie. - Nie wiadomo tylko, czy wytrzymam z tobą.

- Czy to ma być przykład słynnego angielskiego humoru?

- Nie, to się nazywa czarny humor.

- Pospiesz się, chcemy już ruszać - ponagliła, i szybko wyszła z pokoju.

- Tak jest, proszę pani - mruknął Randall i zaczął się przebierać. Był zły na Gabe'a i na Claire, ale najbardziej zły na siebie.

Gdy kobieta rozpina mężczyźnie koszulę, trudno mu się powstrzymać od gwałtownej reakcji, bo podświadomie pamięta wszystkie sytuacje, kiedy działo się to wcześniej. Ogarnęło go pożądanie, nic nie mógł na to poradzić. Był w kalesonach, do licha! Ona pewnie też. W trzech parach. Bielizna staruszków. Ale jak wyglądałyby bez nich?

Opanował się z trudem, nałożył dodatkowe warstwy ubrania i ruszył na dół. Pomyślał, że chłód go otrzeźwi.

Monk, koń, którego mu przydzielili, był wielki i rozbrykany, lecz radził sobie z gorszymi w kawalerii, więc wkrótce go opanował.

Jak okiem sięgnąć, rozpościerał się wokół biały, księżycowy pejzaż. W oddali rysowały się góry. Słońce lśniło jaskrawo na śniegu, ale było straszliwie zimno, więc Randall podziękował Claire w duchu za dopilnowanie, żeby się dobrze ubrał. Gdy ujrzał jej pytające spojrzenie, uśmiechnął się i gestem kciuka do góry wskazał, że wszystko jest w porządku. Dave przyglądał się temu spod zmrużonych powiek.

Cztery olbrzymie konie stały zaprzężone do sań z sianem. Na znak Dave'a ruszyły przez śnieżną pustynię, skąpaną w słońcu.

Randall od razu poczuł się świetnie. Stantonowie przez wiele stuleci byli posiadaczami ziemskimi, a on urodził się i wychował na wsi. Lata spędzone w biurach, nad rzędami cyfr, poszły w zapomnienie, gdy jechał konno w ten piękny poranek.

Stogi były wielkie i trzeba było zbierać z nich siano widłami. Była to ciężka praca, lecz przypomniwała Randallowi, jak przyjemnie czuć własne ciało znużone wysiłkiem, krew tętniącą w żyłach, jakby właśnie zbudził się do życia po długim śnie.

Krowy stłoczyły się wokół nich, wiedząc, że dowożą im jedzenie. Randall przypomniwał sobie swoje stado, które było jego właściwie tylko w sensie posiadania. Inni ludzie je karmili, dbali o nie, znali je. Do tej pory nie uważał, że coś z tego powodu traci. Teraz poczuł, że tak jest. Sentymentalne bzdury! pomyślał. Jednak ta myśl nie dawała mu później spokoju.

W drodze powrotnej jego wierzchowiec po raz ostatni usiłował pokazać, kto tu rządzi. Randall ściągnął wodze i zmusił konia do galopu. Naraz usłyszał tętent kopyt i ujrzał

Claire, która zaczęła się z nim ścigać. Kątem oka widział, że Claire jedzie z gracją i świetnie panuje nad ogromnym wierzchowcem. Przypomniawszy sobie Honorię, która upierała się, by jeździć tylko na dobrze ułożonych koniach i wracała w połowie wycieczki, bo na przykład złamała sobie paznokiec. Randall, który uwielbiał dziki galop po polach, nareszcie znalazł odpowiednią towarzyszkę.

Nagle koń Claire potknął się na jakiejś niewidocznej pod śniegiem przeszkodzie, stanął dęba, a zaskoczona Claire straciła kontrolę i spadła na plecy.

- Claire! - zawołał, zawracając zaniepokojony.

- Nic mi się nie stało! - zawołała. - Przyprowadź mi konia.

Przytrzymał go za uzdę, a ona z trudem się podniosła. Widział, że wcale nie czuje się dobrze, ale za wszelką cenę nie chce tego okazać. Powstrzymał się od współczucia, sądząc, że ją to rozzłości.

Wspięła się na konia i poklepała go uspokajająco.

- Dziwię się, że dałaś radę wstać - powiedział Randall.

- Nic mi nie jest - rzuciła, próbując wzruszyć ramionami. Inni ich dogonili, a Dave podjechał do Claire i od tej pory nie oddalał się od niej ani na chwilę. Przez całą drogę wyrzekał na coś podniesionym głosem, lecz Randall nie słuchał, o czym mówi. Martwił się o Claire, która niezbyt pewnie trzymała się w siodle. Miał ochotę odepchnąć Dave'a i powiedzieć, by wsparła się na nim, ale wiedział, że to bez sensu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Tej nocy Randall bardzo ostrożnie kładł się spać. Podobało mu się aktywne życie, ale jego mięśnie nie były przyzwyczajone do takiego wysiłku i strasznie bolały.

Wreszcie poniechał prób znalezienia wygodnej pozycji i z trudem zwłóknął się z łóżka. Muszą gdzieś mieć maść rozgrzewającą... Powinien zapytać na dole, ale nie chciał dać im tej satysfakcji.

Włożył szlafrok i wyszedł na korytarz, zastanawiając się, gdzie poszukać specyfiku. Przechodząc koło pokoju Claire, zorientował się, że dobiega stamtąd zapach leku, którego szukał. Usłyszał ciche stękania, które przypomniały mu jej okropny upadek. Pewnie próbowała dosięgnąć bolącego miejsca, co tylko potęgowało ból.

- Claire... - Zastukał cicho do drzwi.

Uchyliły się, a w szparze ujrzał dziewczynę owiniętą w wielki ręcznik.

- Szukam maści rozgrzewającej - wyjaśnił. - Instynkt podpowiedział mi, że tu ją znajdę.

- Właśnie skończyłam się nacierać.

- Na pewno? Masz pewnie potłuczone plecy. Mogę ci pomóc - jak cierpiący cierpiącemu. Nikt się nie dowie - dodał, widząc, że się waha.

Uśmiechnęła się blado.

- Dobra. - Odsunęła się od drzwi i wpuściła go do środka. Nie rozglądał się po pokoju, lecz zauważył, że zdjęcie Gabe'a zniknęło z nocnego stolika. Usiadła plecami do niego, a on delikatnie zsunął ręcznik i aż go zatkało, gdy zobaczył, jak jest potłuczona.

- Jeszcze nie widziałem takiego sińca! - zawołał.

- Pewnie masz gorsze - odparła dzielnie.

- O, na pewno nie. Połóż się, to cię porządnie nasmaruję. - Widząc jej wahanie, dodał: - Przestań się wstydzić, jutro będziesz do niczego!

- Już teraz jestem... - westchnęła i wyciągnęła się na łóżku.

Zsunął ręcznik z jej pleców najniżej jak mógł, czekając, aż zaprotestuje. Nie odezwała się jednak ani słowem, więc zaczął delikatnie wcierać masę w jej skórę. Była to śliczna, gładka i jasna skóra. Nawet z brzydkim siniakiem Claire była piękna. Miała długie, delikatne plecy, szczupłą talię i kobiece biodra.

Rytmicznie nacierał jej skórę, starając się, by nie bolało. Starał się nie myśleć o niej samej, co nie było łatwe.

- Zaraz poczujesz się lepiej - powiedział ciepło. - Co byśmy zrobili bez tej maści?

- Na pewno nie cuchnęlibyśmy jak konie - odparła Claire, ziewając.

- Tak, szkoda, że ma taki zapach.

Odgarnął z ramion Claire rozpuszczone włosy i zaczął delikatnie nacierać kark dziewczyny. Mruknęła z przyjemnością, a on się uśmiechnął. Podniosła rękę, by odgarnąć włosy, a potem oparta głowę na łokciu. Nie zauważyła, że ręcznik się nieco zsunął z przodu, odsłaniając uroczy widok. Randall z trudem oderwał oczy od ślicznej piersi, zastanawiając się, co go podkusiło, żeby wpakować się w taką sytuację. Męskie ciuchy, które nosiła Claire, kryły jej kształty. Nie wiedział, że jest aż tak pociągająca. Z trudem się opanował i żeby odwrócić uwagę, rzucił niedbałym tonem:

- Nie było dziś tak znowu źle. Ciężko, ale tego się spodziewałem.

- Mmm - mruknęła.

- Jakoś sobie poradzę. Trochę wprawy i będzie dobrze. Jakie plany na jutro? - spytał, masując okolice talii i walcząc ze sobą, by nie sięgnąć niżej.

- Claire? Claire?

Zasnęła. Znieruchomiał z ręką na jej plecach. Zaczęło się tak niewinnie, a teraz jego ciało aż drżało z podniecenia. Claire nie stosowała żadnych kobiecych sztuczek, ale i tak okazała się najseksowniejszą kobietą, jaką znał. Tak łatwo jednak było ją zranić, zwłaszcza teraz. Ale na nią działałam! pomyślał. Usypiająco! Muszę stąd iść. Gdy tak się wahał, Claire poruszyła się z westchnieniem przez sen, a jego ręka niechcący zsunęła się niżej. Niechcący? Kogo chciał oszukać? Claire westchnęła i uśmiechnęła się. Do Gabe'a! pomyślał. Śni jej się, że jest z Gabe'em! Gdyby się zbudziła i ujrzała mnie, poczułaby się oszukana! Randall z trudem oderwał się od niej i wstał. Musi wyjść, nim straci panowanie nad sobą! Ale najpierw musi ją okryć. Delikatnie podciągnął ręcznik, a potem otulił ją prześcieradłem i kocami.

Wyszedł na korytarz, z trudem łapiąc oddech. Wtedy przypomniał sobie, że zostawił maść na jej stoliku. Zaklął pod nosem, ale nie zaryzykował powrotu do sypialni Claire.

Wrócił do swego zimnego, samotnego łóżka i spędził resztę nocy, cierpiąc z powodu bólu mięśni i nie zaspokojonego pożądania.

Następnego dnia Randall zszedł na dół późno, bo, jak dowiedział się od Susan, która uraczyła go pysznym śniadaniem, Claire zakazała go budzić. Wszyscy już wyszli do pracy.

Rozglądając się po domu, znalazł komputer, więc włączył go i, jak przypuszczał, okazało się, że Gabe ma najnowsze oprogramowanie.

- Znasz się na tym?

Obejrzawszy się, zobaczył Claire, która patrzyła na niego pytająco.

- Owszem.

- Elaine zajmuje się rachunkami - wyjaśniła. - Obiecałam, że podczas jej nieobecności będę załatwiać bieżące sprawy... - zawiesiła głos.

- Znam się na księgowości.

Na szczęście pracował też w tym programie, który miał Gabe. Claire pokazała mu kilka nie zrealizowanych faktur, więc szybko wprowadził dane do komputera.

Wrócili robotnicy, a Dave zapytał drwiąco:

- Jeden dzień ciężkiej pracy to pewnie dość dla ciebie? Randall wzruszył ramionami, nie dając się sprowokować.

- Nie mogłem wczoraj długo zasnąć.

Zauważył, że stojąca obok Claire drgnęła. Nie widział jej rumieńca, lecz był pewien, że Claire wie, z jakich powodów dręczyła go bezsenność.

- No jasne, masz dość - szydził Dave.

- Daj mu spokój, Dave - powiedziała spokojnie Claire.

- Ej, no co ty...

- Powiedziałam, daj spokój! - rzuciła podniesionym głosem, aż robotnicy popatrzyli na nią ze zdumieniem.

Ruszyli do kuchni, a ona wraz z nimi. Nie chciała zostać sam na sam z Randallem. Rankiem też wstydziła mu się spojrzeć w oczy. Przez całą noc śniły jej się jego ręce i cudowne pieszczoty, którymi ją obdarzał. A był przecież Gabe, którego tak kochała, którego obraz prześladował ją w myślach. Nie chciał jej uczucia, więc dlaczego czuła się tak, jakby go zdradziła?

W następnych dniach Claire unikała bycia sam na sam z Randallem. Na szczęście North chętnie się nim zajął, w przeciwieństwie do Dave'a, który dokuczał mu, kiedy tylko mógł. Randall bronił się angielską wyniosłością.

Pewnego razu, gdy Randall wspomniał, że Gabe nauczył go rzucać lassem, Dave wyzwał go do współzawodnictwa, a Randall zgodził się, nim Claire zdołała go powstrzymać.

- Pewnie nie uczyli was tego w kawalerii królewskiej - zadrwił Dave.

- Muszę tylko trochę poćwiczyć - odparł Randall, po czym rozhuśtał linę i zarzucił ją wprost na Dave'a.

- Hej!

- Bardzo przepraszam. Za chwilę cię uwolnię - powiedział uprzejmie Randall i zacisnął mocniej pętlę.

- Ej, poluzuj!

- No tak, oczywiście, nie ruszaj się, proszę...

- Daj to, idioto!

Wszyscy zaśmiewali się z jego wściekłości. - To było specjalnie! - ryknął Dave, gdy się wreszcie wyswobodził. - Zrobiłeś ze mnie durnia!

- Mój drogi, nie ośmieliłbym się poprawiać natury...

- Ty...

Na szczęście zjawił się Frank, który zakończył załatwianie spraw w mieście, i wzajemna prezentacja przerwała drakę. Jednak Randall wiedział, że Dave mu tego nie daruje i trzeba na niego uważać.

Claire po raz pierwszy zetknęła się z takim mężczyzną jak Randall. Był dżentelmenem. Po nocy, kiedy widział ją półnagą, nie robił żadnych lepkich aluzji, nie próbował wprowadzić jej w zakłopotanie. Okazywał delikatność, o jakiej nie mieli pojęcia pozostali. Dopiero by mieli ubaw! Ale nigdy się o tym nie dowiedzą. Myśl, że mają wspólny sekret z Randallem, wydała jej się niepokojąca - to ich zbliżyło, a przecież chciała uniknąć bliskości z tym mężczyzną. Jednocześnie pełna sprzeczności natura ludzka podsuwała jej pytanie: czy jego dżentelmeńskie zachowanie nie wynika z obojętności? To byłoby z kolei obraźliwe. Jak śmiał zachowywać się tak, jakby się nic nie stało?

Zacząła go obserwować, podziwiając jego szerokie ramiona, umięśnione uda opięte džinsami, gibkie ciało, zwinne ruchy.

Pewnego wieczoru zastała Randalla w kuchni, gdy pomagał Susan, wycierając naczynia.

- Idź już spać, jesteś zmęczona - powiedziała Claire, stając przy zlewie.

Indianka odeszła, uśmiechając się do siebie. Była jeszcze fura zmywania, a Claire, podając naczynia Randallowi, często muskała jego rękę.

- Ty też musisz być zmęczona - powiedział łagodnie. - Prowadzisz dom, pilnujesz spraw na ranchu i jeszcze z nami codziennie pracujesz.

- Chcesz, żebym siedziała w domu?

- A może byś obwiozła mnie po okolicy?

- North może to zrobić. Dam mu dzień wolny.

- Gabe pewnie by wolał, żebyś to ty czyniła honory pani domu.

No to wpadła. Cały dzień sam na sam z nim...

Nazajutrz wsiedli do pikapa i pojechali do Marmot, pobliskiego miasteczka. Claire załatwiła różne sprawunki, a potem poszli do baru na kawę. Gdy usiedli przy stoliku, zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od pamiętnego wieczoru są ze sobą sam na sam. Czyżby go unikała? Ich oczy spotkały się, a rumieniec Claire potwierdził jego przypuszczenia.

- Jedźmy, póki widno - zaproponował.

Ruszyli drogą wiodącą w stronę gór. Gdy jechali nią poprzednio, zapadał zmrok. Teraz Randall mógł podziwiać czysty błękit, biel i czerń nieba i ziemi.

- Zatrzymaj się tutaj - poprosił, gdy znaleźli się na wzniesieniu.

Wysiadł z samochodu, by napawać się cudnym widokiem. Claire stanęła przy nim.

- O, tam widać ranczo - wskazała ręką i wzdrygnęła się od chłodu.

Otoczył ją ramieniem i momentalnie poczuł zawrót głowy. Zamknął oczy i zaczerpnął powietrza.

- Góry działają czasem oszalamiająco - powiedziała.

- O, tak - przyznał, otwierając oczy.

- Randall, czy dobrze się czujesz? - spytała, dotykając jego policzka czubkami palców.

Ujął jej dłoń i, bez zastanowienia, delikatnie ucałował.

- Randall... - szepnęła, gdy zaczął wpatrywać się w jej usta. - Nie powinniśmy tak tu stać na wietrze. To niebezpieczne.

- Tak, masz rację - przyznał. - Jedźmy. Tu jest bardzo niebezpiecznie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Czas upływał tak szybko. Wydawać by się mogło, że Randall niedawno przyjechał, a już upłynął miesiąc. Przyzwyczyił się do rytmu życia na ranczu, zasmakował w pracy.

Często wstawał wcześniej, by podziwiać wschód słońca, krajobraz, który mienił się różem i purpurą, z nikiem księżycem. Wieczorami wymykał się sam z domu, by podziwiać zachody, niewiarygodne piękno śnieżnych połaci skąpanych w czerwonym i żółtym świetle. Czasami Claire stawała obok niego i w milczeniu podziwiali piękny widok.

Pewnego wieczoru Randall prawie znalazł słowa, którymi chciał opisać, co do niej czuje, lecz ona odezwała się pierwsza:

- Jak myślisz, co robi w tej chwili Gabe?

Słowa zamarły mu w ustach. Wiele razy w życiu pragnął kobiety, ale nigdy jeszcze tak bardzo, jak teraz. Była wyjątkowa. Podziwiał jej otwartą odwagę, skrywaną bezbronność. Nie mógł wyzbyć się uczucia, że coś zajdzie między nimi. To przeczucie napawało go radością.

Pewnego ranka, gdy wychodził na dwór, dogoniła go Claire:

- Dlaczego wyprowadzają Nailera na podwórze? - spytała przerażona. - Nie mów, że zamierzasz...

- Owszem. Powiedziałem Dave'owi, że to zrobię, a Stantonowie nigdy nie cofają się przed żadnym wyzwaniem.

- Ale możesz skrócić kark!

- A więc zginę z honorem - powiedział ze swoim najbardziej brytyjskim akcentem.

- Przestań tak gadać, ty... arystokrato!

- Czy to najgorsze wyzwisko, jakim mnie możesz obrzucić?

- Cholera! - zawołała ze złością Claire. - Czy nic, co mówię, nie robi na tobie wrażenia?

- Chodzi ci o to, czy możesz mnie zranić? - spytał.

- Ależ ja...

- Jeśli chcesz mi złamać serce, możesz to zrobić bez trudu... - powiedział, a potem miękko i delikatnie pogładził jej policzek i odszedł.

Claire z bijącym sercem patrzyła, jak podchodzi do konia, którego North trzymał za uzdę. Dave i Olly siedzieli na ogrodzeniu korralu.

- Nie zapomnij tego, co ci mówiłem - mruknął pod nosem North, który poprzedniego wieczoru zdradził Randallowi parę sekretów ujeżdżania wściekłej bestii.

Randall skinął głową, wziął głęboki oddech i wskoczył na siodło.

- Puść go - polecił.

W chwilę później poczuł, jakby ziemia zawirowała. Koń podrzucił go w siodle. Randall ścisnął go nogami, lecz Nailer kilkakrotnie zarzucił grzbietem, zadem i przy kolejnym wściekłym ataku koniowi udało się go zrzucić na ziemię. Upadek był bolesny, lecz Randall szybko się podniósł, by nie dać widzom satysfakcji. North złapał konia, który stał już spokojnie, tylko wściekle parskął.

- Hej, wygrał z tobą! - zawołał zadowolony Dave.

- Akurat! Jeszcze mu pokażę!

Gdy Randall ponownie wskoczył na siodło, North umknął w ostatniej chwili przed kopytami Nailera, który od razu stanął dęba. Zaczęła się walka na śmierć i życie. Randall zacisnął zęby i nie poddawał się, choć całe ciało go bolało po upadku i trudno było wytrzymać gwałtowne podskoki konia. Wreszcie jednak dopasował się do rytmu wierzchowca, odnalazł właściwą pozycję, pozwalającą pewnie utrzymać się w siodle.

Mimo chłodu pot ściekał mu po twarzy, zalewał oczy. Wreszcie koń dał za wygraną, przestał się szarpać i normalnie reagował na ruchy jeźdźca.

North i Olly powitali to radosnymi okrzykami, Dave patrzył z nienawiścią. Oczy Claire błyszczały, wpatrywała się w niego z zachwytem.

Z trudem zsunął się z siodła, ziemia zachybotwała mu się pod stopami.

- Odprowadź go do stajni, stary - powiedział nonszalancko, dając wodze Dave'owi, i ruszył w stronę domu.

Gdy nieco się oddalił, na sztywnych nogach, dogoniła go Claire. Objął ją bez słowa i wsparł się ciężko na ramieniu dziewczyny.

- Nie sądziłam, że ci się uda! - powiedziała z podziwem.

Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, udał, że mdleje, i osunął się na podłogę. Zaśmiewając się, objęła go ramionami i pomogła usiąść na fotelu. Potem pomogła mu zdjąć koszulę, podkoszulek i jęknęła na widok stłuczeń widocznych na skórze. Randall uświadomił sobie, że krew ścieka mu po twarzy.

- Ten upadek był straszny - powiedziała Claire, gdy przyniosła miskę z wodą, gąbkę i zaczęła go obmywać. - Musisz jechać do lekarza.

- Nie ma mowy. Zjem śniadanie i idę do roboty.

- Jeszcze nikomu nie udało się ujeździć Nailera za pierwszym razem - powiedziała. - Zawiozę cię do miasta, jest tam dobry lekarz. Możesz mieć złamane żebra.

- Claire, nic mi nie jest. - Obmacał rękami klatkę piersiową. - Sama zobacz.

Odłożyła gąbkę i zaczęła łagodnie go dotykać. Widziała tyle złamań na ranczu, że od razu zorientowała się, iż Randall ma rację. Jednak nie mogła oderwać rąk od szczupłego,

umięśnionego torsu, przesuwała je delikatnie po gorącej skórze.

- Tak, żebra nie są złamane - powiedziała wreszcie, cofając niechętnie dłonie.

- Żebra nie... - przyznał cicho, a ona spojrzała na niego i serce zaczęło jej bić mocniej.

Miała takie miękkie usta, tak bardzo pragnął je pocałować!

- Claire...

Uśmiechnęła się do niego bezbrinnie, i to go powstrzymało. Tak łatwo było ją zranić. Nie mógł jej pocałować, wiedząc, że za parę tygodni wyjedzie.

- Tak? - spytała.

- Czy możesz mi pomóc wejść na górę?

- Natrzeć cię maścią?

- W tym miejscu sam to zrobię - powiedział, a ona zachichotała i pomogła mu wstać.

Tego wieczoru urządzili sobie przyjęcie. Zjawił się Frank z żoną i dorosłą córką. Susan przygotowała prawdziwą ucztę, Olly i North chwalili Randalla, a Claire wyciągnęła najlepsze wina Gabe'a.

Kilka godzin wcześniej Randall podjął postanowienie dotyczące Claire. Uznał, że jego rosnące pożądanie może wymknąć mu się spod kontroli, więc musi je zwalczyć - dla jej dobra, by jej nie zranić. Nikt nie powiedział mu jeszcze, że gdy mężczyzna robi takie postanowienia, jest już za późno. Gdy ujrzał Claire schodzącą po schodach w sukience, zrozumiał, że niełatwo będzie wytrwać w postanowieniu.

Sukienka była prosta, staroświecka, z bawełny w kwiatki, dopasowana w talii i lekko rozszerzana u dołu. Modne znajome Randalla na pewno by ją wyśmiały. Jednak on wstrzymał oddech na widok tej najseksowniejszej z kobiet, jakie znał. Wiedział, że Claire ma długie nogi. Teraz odkrył,

że ma też kształtne łydki, zgrabne kostki i umie obiecująco kołysać biodrami.

Po kolacji ktoś włączył muzykę i zaczęły się tańce. Randall zatańczył z żoną i córką Franka, nie wypadało więc, by nie poprosił do tańca swej miłej gospodyni.

Zaczekał na szybki kawałek i, trzymając Claire za rękę, obracał ją na parkiecie, gdy nagle muzyka zwolniła i nie mógł się powstrzymać, by nie przyciągnąć jej do siebie. Gdy poczuł miękkie, szczupłe ciało dziewczyny, wiedział, że zawsze czekał na tę chwilę i na nic się nie zdadzą jego wszelkie postanowienia. Wiedział, że zbyt mocno ją przytula, a może to ona przylgnęła do niego? Spojrzał jej w oczy, które wpatrywały się w niego, zamglone, zamyślane. Uśmiechnął się, a gdy odpowiedziała mu uśmiechem, było to jak delikatny pocałunek... Wreszcie muzyka umilkła. Claire westchnęła, jakby wyrwana z transu. Randall wypuścił ją z objęć, zanim zwróciliby na siebie uwagę, lecz gdy wymknęła się do kuchni, poszedł za nią.

Wkładała naczynia do zlewu, poruszając się jak we śnie. Odciągnął ją i wziął w ramiona. Odnalazł ustami jej usta i zaczął całować. Po chwili wahania Claire odpowiedziała na pocałunek. Była słodka jak miód i oszałamiająca jak młode wino.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Po przyjęciu, gdy Claire znalazła się wreszcie sama, zarzuciła gruby płaszcz na sukienkę i wyszła na dwór w nadziei, że mroźne powietrze pozwoli jej nieco ochłonać. Randall poszedł do swego pokoju i teraz pewnie nasłuchuje moich kroków na schodach, pomyślała.

- Wielki angielski lord, co? Lubi czasem zabawić się z miejscowymi dziewczuchami, jak oni to nazywają...

Claire aż podskoczyła na dźwięk głosu Dave'a, który właśnie wyszedł z domu dla robotników.

- Zamknij się, Dave. Nic o nim nie wiesz.

- Akurat. Od razu go przejrzałem. Ma te swoje lordowskie włości i musi poślubić dziewczynę, która ma błękitną krew. A twoja jaki ma kolor, Claire?

Spojrzała na niego tak groźnie, że aż się cofnął ze zdziwienia.

- Mówię jak przyjaciel, nie chcę, by cię zranił. Zresztą myślałem, że kochasz Gabe'a.

- Dość tego! - rzuciła ostro Claire. - Nie waż się wspominać Gabe'a.

Randall, który stał przy oknie, uchylił je, słysząc podniesiony głos Claire.

- Cholera, wiesz, co do ciebie czuję, Claire. Myślałem, że teraz będę miał szansę...

Randall dostrzegł dwie postaci, które zaczęły szamotać się przy drzwiach.

- Łapy przy sobie! - zawołała Claire.

Randall wybiegł z pokoju i puścił się pędem na dół. Gdy jednak dobiegł do kuchni, usłyszał z zewnątrz odgłos siarczystego policzka i syk bólu. Po chwili Dave wtoczył się do kuchni, a Randall zdążył wycofać się za drzwi nie zauważony. Stojąc tam, uśmiechał się na myśl o tym, że biegł

na ratunek Claire, jakby była jakąś tam bezbronną kobietką. Niezły musi mieć cios!

- Wynocha stąd, ale już! - rozległ się ostry głos Claire, która weszła za Dave'em. - Wbij sobie do głowy, że Randall mnie nie skrzywdzi. Być może chce się zabawić, a może ja też chcę. Jest podobny do Gabe'a!

- To znaczy...

- Tak. Dla mnie zawsze liczył się tylko Gabe. Mówię ci to, żebyś wybił sobie z głowy różne głupstwa i odczepił się ode mnie. Idź już.

Gdy Dave wyszedł, Claire zamknęła drzwi, z trudem powstrzymując się od płaczu. Słowa Dave'a tak ją zabolowały, że bez zastanowienia powiedziała o swoich uczuciach do Gabe'a, byle się od niego odczepić.

Ale wcale nie miała na myśli Gabe'a. Teraz liczył się tylko Randall. Na wspomnienie pocałunku oblało ją gorąco. On czekał teraz na nią na górze...

Słyszając, że serce Claire wciąż należy do Gabe'a, Randall wycofał się do pokoju i pogрузzył w gorzkich rozmyślaniach.

Nazajutrz Claire nie robiła żadnych uwag na temat tego, że nie przyszedł do jej pokoju. Nie mógł jej przecież powiedzieć, że podsłuchał rozmowę dotyczącą Gabe'a. Pewnie była zadowolona, że się nie zjawiał.

Randall zadzwonił ze swej sypialni do kuzyna i zdziwił się, że głównym tematem, który go zajmuje, jest Freddie Crossman i jej dzieci. Randall lubił ich wszystkich, ale nie wiedział, że są tak zajmujący.

Zszedł na dół i zastał Claire przy komputerze.

- Właśnie dzwoniłem do Gabe'a - powiedział, gdy dokończył podliczenia, z którymi nie mogła sobie poradzić.

- Czy mówił, kiedy wraca?

- Nie - odparł niechętnie Randall.

- Nie może tam tak długo siedzieć. Wkrótce wiosna i zacznie się prawdziwa praca.

- A teraz to nie praca? - spytał zdziwiony Randall.

- Na dobre zaczyna się, gdy krowy się cielą. Ciągłe trzeba być na nogach, sprawdzać, pomagać przy porodach, gdy krowy mają kłopoty. Jesteśmy wtedy wykończeni. Ale to jest cudowne. Gdy cielak bierze pierwszy oddech, staje na nogach... - przerwała. - Ale ciebie już wtedy nie będzie?

- Nie - powiedział szorstko i wyszedł.

Tak mniej więcej układały się ich stosunki przez następne dni. Rozmawiali na obojętne tematy, ogólnikowo, starali się unikać bycia sam na sam.

Bal, który odbywał się zwykle pod koniec lutego, był wielkim wydarzeniem dla całej okolicy i długo wyczekiwaną atrakcją. Randall zszedł na dół, mając nadzieję, że ubrał się odpowiednio.

- Ujdzie - orzekł North, lustrując koszulę z kraciastej flaneli.

- To Gabe'a - wyjaśnił Randall.

- Wiem, dostał ją od Claire na ostatek urodziny.

- A niech to! - Randall odwrócił się, by pójść szybko się przebrać, lecz zamurowało go na widok schodzącej właśnie Claire.

Miała na sobie oliwkowozieloną, jedwabną sukienkę, która pięknie podkreślała jej kobiece kształty. North zagwizdał przeciągle.

- No, Claire, wybrałaś najlepszą sukienkę z całego katalogu! - powiedział z podziwem.

- Nie jest nowa - powiedziała szybko Claire. - Mam ją od roku.

Nie chciała, by Randall wiedział, że buszowała ostatnio po katalogach, zapłaciła podwójną cenę, by sukienka przyszła na czas, i umierała ze strachu, że może źle leżeć.

- Wyglądasz ślicznie, Claire - powiedział Randall miękko.
- Naprawdę.

- Czy przypominam modne kobiety z twojego towarzystwa? - Claire nie mogła się powstrzymać przed tym pytaniem.

- Na szczęście, wręcz przeciwnie - zapewnił.

Na bal jechali wszyscy, nawet Susan, która zabrała się z Northern i Ollym. Frank z rodziną wzięli Dave'a. Randall i Claire wyruszyli jako ostatni.

Droga była oblodzona i na którymś zakręcie wpadli w poślizg. Claire krzyknęła, Randall rozpaczliwie usiłował zapanować nad samochodem, wreszcie udało mu się nieco wytracić szybkość i skrócić tak, by nieszkodliwie wylądować na drzewie, które ich ostatecznie wyhamowało, zrzucając Claire w jego stronę.

- Claire? - spytał wystraszony, mocno ją obejmując. - Nic ci się nie stało?

- Nie, tylko lekko się uderzyłam.

- Już myślałem, że będzie po nas.

Wiedziała, że powinna się odsunąć, ale było jej tak dobrze, że zamiast to zrobić, położyła głowę na jego ramieniu.

- Claire?

- Tak? - szepnęła.

- Czy naprawdę chcesz jechać na ten bal?

- Nie... - odparła rozmarzonym głosem.

- Ja też nie.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, rozkoszując się tą chwilą.

- Wracamy? - zapyta! szeptem. Odpowiedziała skinieniem głowy.

Jechali w milczeniu. Dom był cichy i wychłodzony, bo ogień dogasał na kominku. Randall dorzucił parę bierwion i

od razu buchnął wspaniały płomień, rzucający cienie na twarz Claire, wyławiający ją z mroku, bo nie włączyli światła.

Randall objął ją i przyciągnął do siebie.

- Claire... - powiedział zduszonym głosem. - Ja...

- Nic nie mów - szepnęła. - Oboje mówimy za dużo i wynikają z tego same kłopoty.

- Ale czy jesteś pewna?

- Ciii - zamknęła mu usta pocałunkiem.

Całowali się długo i namiętnie, ale było to tylko preludium tego, co nastąpiło później w sypialni.

O świcie Claire obudził jakiś natarczywy odgłos. Telefon. Wyrwana ze snu, szybko zarzuciła szlafrok i zostawiwszy śpiącego Randalla, pobiegła do jego sypialni, gdzie był najbliższy aparat.

- Z lordem Randallem proszę! - usłyszała w słuchawce. Kobięcy głos był wyniosły, nieprzyjemny.

- Jeszcze śpi. Jest bardzo wcześnie.

- Ach, tak. Mówię z gospodynią?

- Nie, mieszkam tu. Mam na imię Claire.

- Honoria Gracewell. Spodziewam się, że Randall mówił pani o mnie.

- Nie, nie wspominał - odparła Claire posępnie.

- Nieważne. Muszę natychmiast pomówić z Randallem, by zdążył nie dopuścić do skandalu.

- Jakiego skandalu?

- No cóż, nie chcę być spowinowacana z Frederiką Crossman, Stantonowie powinni dbać o swoją pozycję.

- Czy ona im to utrudnia? - spytała cierpko Claire.

- Owszem, bo chce poślubić Gabe'a McBride'a. Randall musi temu zapobiec.

- Gabe się żeni?

- Za trzy tygodnie, spieszo jej pewnie, żeby nie zmienił zdania.

Claire gwałtownie usiadła.

- Halo, słyszy mnie pani? Proszę poprosić Randalla, by oddzwonił...

- Nie trzeba, już tu jest - odparła Claire i oddała słuchawkę Randallowi, który właśnie się zjawił.

Niedługo potem North, gdy zaspany zjawił się w stajni, zdziwił się na widok Claire, która wpadła jak wicher, osiodłała konia i pogalopowała przed siebie.

Pędziła tak długo, aż straciła ranczo z oczu. Zatrzymała się przy kępie drzew, przywiązała konia, usiadła na leżącym pniu i ukryła twarz w dłoniach. A więc Gabe się żeni. I Randall też. Zrozumiała przejrzystą aluzję Honorii. Był zaręczony z arystokratką, godną jego hrabiowskiego tytułu.

Nie miała mu za złe ostatniej nocy. Czowała takie samo pożądanie jak on, pragnęła tego samego, namiętnie rzuciła się w jego ramiona. Przeżyła cudowne chwile i zachowała wspomnienie o nich niby skarb.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy Honoria z wściekłością rzuciła słuchawkę, Randall zadzwonił od razu do Gabe'a.

- Ty stary draniu! - zawołał na powitanie. - Więc dałeś się wreszcie złapać na lasso i oznakować?

- Skąd wiesz? - spytał zaskoczony Gabe. - Myślałem, że będę miał frajdę, kiedy sam ci powiem.

- Honoria właśnie dzwoniła z żądaniem, bym nie dopuścił do mezaliansu.

Gabe zaniósł się śmiechem, lecz nagle spoważniał.

- Claire wie?

- Chyba tak - odparł Randall, przypomniawszy sobie wyraz twarzy dziewczyny, gdy wybiegała z pokoju.

- Miała do mnie słabość - powiedział niepewnie Gabe. - Pewnie już jej przeszło.

- Tak - zgodził się Randall, choć sam nie był tego tak bardzo pewny.

Od Northa dowiedział się, w którym kierunku pojechała Claire, i ruszył za nią. Wkrótce ujrzał, jak siedzi na pniu drzewa, skąd nie ruszała się od dłuższej chwili. Usiadł obok, objął ją i pocałował we włosy, gdy położyła głowę na jego ramieniu.

- Czy to ważne, że Gabe kocha kogoś innego? - spytał ze smutkiem Randall. - A co z nami, co z ostatnią nocą? Czy byłem tylko namiastką Gabe'a?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła trochę zbyt gorliwie. - Ale ty też mnie nie kochasz.

- Nie mów mi, co czuję, Claire... - Położył ręce na jej ramionach i lekko potrząsnął. - Wmówiłaś sobie, że nikt cię nie pokocha, bo nie mogłaś mieć mężczyzny, w którym kochałaś się od dziecka. Czy kiedykolwiek dałaś szansę komuś innemu? Na świecie jest pełno mężczyzn.

Uśmiechnęła się blado, a on pogładził jej policzek.

- Tak bez zastanowienia rzuciłaś, że cię nie Kocham. A może się mylisz?

- Przestań, Randall. Powinieneś powiedzieć mi o Honorii na samym początku, zanim...

- Zanim się Kochaliśmy?

- Czy twoja narzeczona o tym wie?

- Kto?

- Cholerna Honorii. Powiedziała mi, oczywiście nie wprost, że jesteście zaręczeni.

- Och, czyżby? I ty jej uwierzyłaś? Mówi o tym od lat i jest wściekła, że ja tego nie potwierdzam. Nie Kocham jej ani ona mnie. Chodzi tylko o tytuł.

- Nie rozumiem - odparła Claire.

Uświadomił sobie, że Claire mówi prawdę. Jej bezpośredniość i uczciwość były jak powiew świeżego powietrza w dusznym pokoju wyższych sfer, gdzie spędził większość życia.

- A czy rozumiesz, że cię Kocham i chcę się z tobą ożenić? Tak, Kocham cię i chcę, żebyś mi powiedziała, że też mnie Kochasz. Mnie, a nie Gabe'a... - Poczł ukłucie zazdrości. - Powiedz, że moją twarz widziałaś wczoraj, a nie jego!

- Przepraszam cię, tak mi przykro... - zamilkła, widząc skurcz bólu, który przebiegł jego twarz. - Sama nie wiem... tak, Kocham cię, Randall, ale...

- Ale Gabe'a też jeszcze Kochasz - rzucił z goryczą.

- Nie wiem! - zawołała zrozpaczona. - Zawsze go Kochałam. Kiedy usłyszałam, że się żeni, chciałam umrzeć. Ale gdy pomyślałam, że ty się żenisz, poczułam to samo... Nie mogę wyjść za ciebie, skoro sama nie wiem, co czuję.

- I nie będziesz wiedziała, jeśli tu zostaniesz - rzucił ze złością. - Claire, Gabe przywozi tu żonę.

- Wyjadę, nie będę grać roli ubogiej krewnej. Umiem różne rzeczy, zawsze znajdę pracę. Myślę, że powinieneś wracać do domu, Randall. Było cudownie, ale zbyt się od siebie różnimy.

- Wcale się nie różnimy! To wszystko tylko pozory, otoczka, w środku jesteśmy tacy sami!

Pokręciła ze smutkiem głową.

Gdy tylko wrócili na ranczo, Randall zadzwonił do Gabe'a.

- Hej, Randall, nie masz nic lepszego do roboty? Musisz wciąż do mnie wydzwaniać? - zawołał wesoło kuzyn. - Co się dzieje? Czy padł mój najlepszy byk?

- Byk ma się dobrze. Ale ja nie. Chodzi o Claire. Kocham ją.

- O rany!

- Myślałem, że przy mnie szybko o tobie zapomni... - przerwał, słysząc chichot. - Ale nie udało mi się.

Gabe spoważniał, wyczuwając rozpacz w jego głosie.

- Zaczekaj chwilę - powiedział. - Niech pomyślę. - Przypomniał sobie dwóch chłopaków, którzy zostali braćmi krwi i przyrzekli zawsze sobie pomagać.

- Zaczekaj chwilę - powtórzył. Odłożył słuchawkę i odnalazł Freddie.

- Fred, co byś powiedziała na nasz szybki wyjazd do Montany?

- Kiedy?

- Teraz.

Czekając na kuzyna na lotnisku, Randall zastanawiał się, dlaczego zgodził się zostać jeszcze jeden dzień. Gabe wmówił mu, że niegrzecznie byłoby nie poczekać na jego przyjazd. Gdy tylko zobaczył Gabe'a, zauważył, że zaszła w nim subtelna zmiana. Zniknęła szorstkość, promieniał radością. Tak samo jak Freddie. A dzieci! Charlie i Emma nie

odstępowały Gabe'a na krok. Randall przywitał się z nimi serdecznie, lecz poczuł lekkie ukłucie w sercu, widząc ich szczęście.

Claire wyszła z domu, gdy tylko usłyszała nadjeżdżający samochód. A więc Gabe wracał do domu ze swą przyszłą żoną. Nastąpiła chwila, której bała się przez całe życie. Gdy ujrzała, jak wysiada z samochodu i podaje rękę Freddie, jak na nią ciepło patrzy, spodziewała się ukłucia bólu. Nic nie poczuła. Zaboląło, gdy zobaczyła Gabe'a stojącego obok Randalla. Ich podobieństwo było pozorne. Susan miała rację, Randall był przystojniejszy. To jego spojrzenie wywoływało u niej zawrót głowy, a dotyk sprawiał, że zapominała o całym świecie.

Gabe podszedł do niej i serdecznie uściskał. Kolacja była bardzo wesoła, potem Claire oprowadziła Freddie po domu. Poczuła do niej sympatię. Jednak wiedziała, że wkrótce będzie musiała wyjechać.

Nazajutrz rano Randall był już spakowany i gotów do wyjazdu.

Pozostała mu do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Podszedł do telefonu.

- Randall, chłopcze! Jak miło cię słyszeć! Gabe mówił, że wracasz! - rozległ się radosny głos hrabiego.

- Tak, dzisiaj.

- Wspaniale. Gabe świetnie sobie poradził w Devonie, jego pomysły można wykorzystać w następnej gazecie, którą mam na oku...

- Posłuchaj, dziadku - przerwał mu Randall. - Wracam do Anglii, lecz nie do firmy. Nie chcę zajmować się już prasą, wracam na farmę, którą od ciebie dzierżawię, i zrobię z niej najlepsze gospodarstwo w kraju.

- A kto się teraz zajmie posiadłością Stantonów? O nie, mój drogi, masz kontrakt z firmą. Zwolnię cię z niego tylko

pod warunkiem, że zajmiesz się Stanton Abbey. Nigdy nie lubiłem wsi, ale ty ją wolisz, prawda?

- Zawsze tak było.

Randall był zachwycony. Wracał do korzeni, miejsca, do którego należał. Znalazł też doskonałą żonę, pasującą do stylu życia, które zamierzał wieść. Ale on nie był doskonały dla niej...

- Już wyjeżdżasz? - spytała Claire, która wpadła do pokoju.

- Tak będzie najlepiej. Wiesz dlaczego.

- Nie pogniewasz się, jak nie pojedę na lotnisko? Mam tyle roboty...

- Oczywiście, North ma mnie odwieźć.

- Do widzenia, wasza lordowska mość - uśmiechnęła się ironicznie.

- Nie nazywaj mnie tak. Nie ma między nami żadnych tytułów.

- Ale powinny być. Ty masz swoje życie, a ja swoje. Nie powinniśmy o tym zapominać.

- Tak - odparł posepnie.

Czuł się zdruzgotany. Wszystko, co Gabe usiłował osiągnąć przez swój przyjazd, zawiodło. Miłość Claire do niego była barierą, której Randall nie potrafił pokonać. Po szybkich i niezręcznych pożegnaniach odjechał.

- Wszystko nie tak - powiedział Gabe, gdy wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

- Skąd wiesz? - spytała zniecierpliwiona Freddie. - Przecież nic nie zrobiłeś od naszego przyjazdu. A oni są zakochani, więc brak im rozsądku.

- To co mam zrobić?

- Spytaj ją.

- O co? Czy mnie jeszcze kocha? Jak?

- Normalnie. Przecież to dla ich dobra. Nie chcesz chyba, żebym pomyślała, że mój ukochany jest tchórzem?

- Nie, do cholery! Idę, lecz nie odchodź, na wszelki wypadek - dodał i ruszył szybko w stronę kuchni.

- No i jak tam, szczęśliwa? - spytał Claire.

- Oczywiście, przecież wróciłeś do domu - odparła z wymuszonym uśmiechem.

- I żenię się.

- Wiem.

- Czy ci to... nie przeszkadza?

- Dlaczego? Jesteś moim bratem... prawie. Nie będę przecież za tobą wyplakiwać oczu. - Odwróciła się.

Zaszedł ją z drugiej strony, by móc widzieć twarz dziewczyny.

- A za Randallem? Zakochałaś się w nim, prawda? - spytał łagodnie.

- Wcale nie.

- Nie umiesz kłamać.

- A ty zawsze musisz być taki mądrała, co wszystko wie...

- Zachnęła się i chciała odejść, lecz ją powstrzymał.

- Bo nie chcę, żebyś sobie zmarnowała życie! - zawołał.

- Jemu bym zmarnowała, gdybym...

- Wyszła za niego?

- Nie zrobię tego!

- Dlaczego? Nie kochasz go?

Claire poddała się. Miał rację. Nie potrafiłaby go oszukać.

- Och, Gabe, oczywiście, że go kocham, ale to nie ma sensu. On myśli inaczej, bo mu się tu podobało i tak dalej, ale wróci do Anglii i innego życia...

- Pozwól, żeby mężczyzna sam decydował, czego chce. A on chce, żebyś została jego żoną.

- Ale...

- Jest w tobie zakochany. Tylko uważa, że ty kochasz się we mnie.

- W tobie? - spytała z takim zdziwieniem, jakby ten pomysł nigdy jeszcze nie przyszedł jej do głowy. - Coś ty? Nigdy cię nie kochałam, no... może podobałeś mi się, jak byłam młodsza i nie bardzo wiedziałam, czego chcę...

- Dziękuję - powiedział Gabe, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Ale z Randallem to jest naprawdę...

- No dobrze, już mi tak dokładnie nie opowiadaj. Dlaczego więc nie siedzisz teraz z nim w samolocie?

- Nie będziesz mi rozkazywać.

- Tak, pozwól mu odlecieć! Facet cię uwielbia, ale ty masz to gdzieś. Zmarnujesz sobie życie, bo jesteś uparta jak osioł, wmówiłaś sobie różne głupstwa...

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała Freddie, stając w drzwiach. - Zamierzacie się dalej kłócić, czy jechać na lotnisko, by dogonić Randalla?

Oboje znieruchomieli.

- Zdamy jeszcze? - spytała gorączkowo Claire.

- Zostaw to mnie - powiedział Gabe. - Jazda!

Pędzili po oblodzonej drodze, ale nie mogli dogonić pikapa. Claire zaciskała nerwowo dłonie, pewna, że jest już za późno.

- Mamy jeszcze pół godziny do odlotu - uspokajał Gabe. Wreszcie zobaczyli lotnisko. Gdy wjechali na parking, Claire dostrzegła samochód Northa. Gabe gwałtownie zahamował, a Claire omal się nie przewróciła, wyskakując z samochodu.

- Randall! - krzyknęła, biegnąc w stronę hali odpraw.

- Randall! - Dostrzegła go w oddali, tuż przed budką odprawy paszportowej.

Usłyszał ją i odwrócił się.

- Claire!

Zaczął biec w jej stronę. Nie musiał pytać, dlaczego przyjechała. Miała to wypisane na twarzy. Podbiegła do niego i padła mu w ramiona.

- Nie możesz mnie opuścić - wyszeptała. - Kocham cię, kocham, nie możesz... - zabrakło jej tchu.

- A co z Gabe'em? - spytał, gdy odzyskała oddech.

- To były tylko dziewczęce mrzonki. To ciebie kocham naprawdę! Kiedy pomyślałam, że odleczysz i już cię nie zobaczę... Powiedz, że nie jest za późno.

- Nigdy by nie było - odpowiedział z uczuciem w głosie.

- Czekałem na ciebie całe życie, nigdy ci nie pozwolę odejść.

Rozległ się głos w megafonie wzywający pasażerów do odprawy.

- Randall! - zawołała przerażona.

- Nieważne! - Machnął ręką. - Wracamy na ranczo i zostaniemy tam tak długo, aż załatwisz sprawy paszportowe i tak dalej. Potem lecimy do Anglii. - Pochylił się i delikatnie ją pocałował. - Weźmiemy ślub i będziemy bardzo szczęśliwi.